



ODRODZENIE

TYGODNIK

Wydanie: 40.000
Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V

Warszawa, dnia 27 czerwca 1948 r.

Nr 26 (187)

MARIA DĄBROWSKA

W PIĘKNY LETNI PORANEK

Któregoś dnia w maju 1912 roku doktor Alicja Świacka położyła się na chwilę po obiedzie, żeby odpocząć. Kazała się zbudzić przed piątą, to znaczy — przed zwykłą godziną przyjęć lekarskich. W mieszkaniu, którego okna wychodziły na Filtrową i Skwer Wielkopolski, panowała w tej chwili cisza, gwar miasta podkreślał ją jak wtór.

Alicja zasnęła natychmiast i przysnęło jej się, że z dwójgiem rzadko widywanych przyjaciół — Józefem Tomyskim i jego żoną — idzie przez Most Poniatowskiego zimą. Jest niby to po bitwie czy bombardowaniu, trzeba omijać wyrwy w moście, słychać pod nimi bełkot wody. Na moście ślisko i śnieg, a przy tym — ciemno. Mimo to Alicja doskonale widzi, że Wisła płynie spieniona i szumiąca, potężna jak nigdy nie była. Za to miasto nad nią prawie jak nieobecne — żadnych świateł i tylko wąty zarys murów. Idą spiesząc się w nieprzejrzystym i zdenerwowanym sposobie; ni to uchodzą śmiertelnemu niebezpieczeństwu, ni to zdążają ku czemuś straszliwemu. Wisła na przemian zgrzebna i biała od pian rozlega się łoskotem jak wodospad górski albo morze, wściekle od burzy. Przekrzykując ten huk Alicja zawołała do Tomyskiego: „Nie rozumiem dlaczego Warszawa nie robi tej rzeki zagłady od zagłady!” A będąc zmęczona, chciała się przy tych słowach ożreć o poręcz mostu i nagie zobaczyła, że poręcz jest wyrwana, ona zaś już — już opiera się o przepaść. Usłowała jeszcze raz krzyknąć: „Dlaczego Warszawa nie zrujnuje tej rzeki zagłady od zagłady?”, ale przerażenie wstrząsnęło nią tak silnie, że się zbudziła.

Przez mglenie powtarzała w myśli te słowa ze snu, dziwiąc się, że mogła śnić zdanie, mające tak uszkodzony sens, niby także trafione powieściem. Leżała jeszcze chwilę, napawając się błogocią populudnia, szczególnie przyjemną po tym złowrogim śnie. Patrzyła na wielkie różowe tulipany — jeden z owych wspaniałych bukietów, które jak woda wdzięczności ozdabiają gabinety wziętych lekarzy.

Nagle poderwał ją z tapczana niby loskot gromu. To w ciszy obyspał się jeden z tulipanów i przejrzał się płatkami w politurze stółka. Prawie jednocześnie dał się słyszeć zgrzytający żelazniem rytmiczny pomruk nadciągającego w ulicę tramwaju. Ten dwójgiem hałas przywołał Alicję Świacką do rzeczywistości. Zlekta się, że nikt jej nie zbudził a to już chyba godzina przyjęć. Spojrzała na zegarek lewej ręki — nie, było dopiero wpół do piątej.



— Tak krótko spałam — zasmuciła się — Szkoda.

Wstała jednak, a naciągając i wiążąc z tyłu biały fartuch lekarski, przypomniała sobie, że w pokoju gościnnym znajduje się jej koleżanka, doktor Zofia Nussenowa, która zjawiała się tu przedwczoraj, uszedłszy w panice spod oka czyhającego na nią szantażysty. Ze w pokoju córki Wandy miesiąc się punktu rozdzielczy kilku gazet prasę podziemną, a w dawnym pokoju nieżyjącego męża leży dwudziestoletni Anglik, zbiegły z obozu jeńców i chory na tyfus plamisty. Z troską pomyślała, że Anglik przebywa u nich i tak za długo, a teraz nie było najmniejszej możliwości usunięcia go z domu. Na odwrót, w związku z jego chorobą wypadło wtajemniczyć w jego tu obecność drugiego lekarza, gdyż będąc sama ginekologiem Alicja nie mogła wziąć na siebie odpowiedzialności za jego leczenie. A musiał być wyłeczony Szpik drętwiał w kościach na myśl, co zrobić z trupem, jeśli ten młodzian umrze. Właściwie należało lojalnie uprzedzić Zosię o Anglika i niebezpieczeństwach pokoju Wandy. Ale i to nie było możliwe. Napięcie okoliczności wymagało spokoju wszystkich domowników. Osoba tak przestraszona jak Zofia mogła tu przebywać tylko w poczuciu, że znajduje się w miejscu bardzo pewnym i nie wdany w żadne ryzykowne szaleństwo. Inaczej star-

jej nerwów mógłby snadnie rozbić równowagę umysłów tak doskonale osiągniętą, że nikt ze znajomych, a nawet przyjaciół (poza paru z konieczności wtajemniczonymi osobami) nie podejrzewał, aby zajmowano się w tym domu czymkolwiek innym niż medycyną, wychowaniem trzyletniego Wandzino Jacka i czekaniem na koniec wojny.

o spokoju mieszkania przy Skwerku Wielkopolskim i Filtrowej myślał w teje chwili powieściopisarz Józef Tomyski, krocząc ku niemu Polną z zamiarem skrócenia sobie drogi pójściem przez działki. Powierzono mu napisanie dłuższej rzeczy o Niemcach, jako historycznym od wieków niebezpieczeństwie dla narodów Europy. Miało to iść na zagranicę i wstrząsnąć tak zwanym sunieniem świata, który — według zdania pewnych czynników roboty podziemnej — nie dość dobrze zdawał sobie sprawę z grozy niemieckich uroszczeń. Rzecz była już na ukończeniu i wymagała tylko jednego popołudnia pracy. Ale oto dziś właśnie ostrzeżono Tomyskich, że



dom przy Mokotowskiej, gdzie mieszkali z dawną obserwowaną, ma się spodziewać najścia gestapo. Józef nie wiedział, czy to dotyczy jego mieszkania, gdyż większość mieszkańców w kamienicy była mniej albo więcej zagrożona. Uznał wszelako za rozsądne poszukać pewniejszego miejsca na spokojne dokonanie już prawie gotowej całości. Tym bardziej że jego żona była chora na serce; popłoch, w jaki by popadła, widząc go zasiedającym tego dnia do maszyny, mógł jej zaszkodzić. Ludmiła Tomyska była znacznie starsza od męża, lecz zagrożone serce czyniło ją — nie jeszcze starszą — ale jakby młodszą od niego i usposabiającą do tkliwych względów.

Myśl Tomyskiego zwróciła się w tej okolicy od razu i bez wahania ku Alicji Świackiej. Dawne z nią stosunki przyjacielskie dość już zwietrzały, ale zaproszeni tam jakieś pół roku temu na kolację, zostali w jej domu tyle dobrobytu, pogody i zainteresowań rzeczami niezwiązanymi z wojną, że nie powątpiewał o trafności swego wyboru. Miał do pani Alicji nawet jakby lekką pretensję, że tak u niej bezpiecznie, choć mu to było na rękę. Mówił sobie: „Widać dobrze jej się powodzi. Porosła w piórka, straciła ten zmysł ryzyka, którym się dawniej pod każdym względem odznaczała”. I sam zaraz jej bronił: „Taka świetna lekarka... Czyż nie ma prawa uważać, że wykonując swój zawód spełnia wyzysk, co do człowieka należy? To tylko nienormalność położenia usposabia mnie do jakichś tam niernormalnych wymagań”.

Tak rozmyślając wstąpił na Polnę do sklepiku po papierosy. Był to narożny sklepik, w którym tłoczyło się w tej chwili dużo ludzi, przybitych po zapóźniony chleb karkowcy. Ku zdziwieniu Tomyskiego wśród tych kilkunastorga ludzi panowała zupełna cisza — rzecz niebywała między ludźmi, co się tłoczy do chleba. Przepchnąwszy się ku ladzie, Tomyski zobaczył siedzącego przy niej na stołeczku człowieka z krótko strzyżoną gołą głową i nieprzenikniętym wyrazem płaskiej twarzy, a odzianego w szary pikowany kaftan. Człowiek ów jadł skibę chleba z masłem i pogryzał kawałkiem kiełbasy. Józef Tomyski poznał w nim natychmiast jeńca sowieckiego. Błyskawicznie stanęła mu w pamięci szerszona z ust do ust od kilku dni wiadomość o jeńcach sowieckich gdzieś z obozu pod Siedlcami, którzy — udręczeni głodem i nieludzkim traktowaniem — rzucili się w kilkunastu szeregach na druty kolczaste i za cenę śmierci pierwszego szeregu wydostali się na groźną wolność. Czy wiadomość była prawdziwa, któż mógł zaręczyć? A oto ów człowiek siedział tu i potwierdzał niejako

te wiadomości. Ludzie oglądali się na niego w milczeniu, a zalatwiwszy swoje przeciskali się ostrożnie i powoli ku wyjściu. Właścicielka sklepu z roztargnieniem przyjmowała pieniądze, wydawała resztę i chleb, obcinała kupony kartek jak we śnie, z opuszczonymi oczyma. Jej pomocnica, tusta ładna blondyna, stała obok, zupełnie bez ruchu, jakby niezdolna do wrażeń wykonywać żadnej czynności. Za oknem raz po raz widać było, sunące nad butelkami octu i paczkami kawy zbożowej, rezedowe mundury i różowe twarze niemieckich oficerów.

Tomyski czekał dość długo aż się rozluźniło, a wreszcie kupił papierosy, nie śmiąc powiedzieć, że prosił o inne. Podał kilka jedzącemu, a ten, mając obie ręce zajęte, położył chleb na kolanie i w milczeniu, bez podziękowania przyjąwszy papierosy, wpuścił je do kieszonki pikowanego kaftana.

Wychodząc z pustego już prawie sklepu, Tomyski usłyszał, jak właścicielka, odzyskawszy wreszcie możliwość mówienia, powiedziała umęczonym głosem:

— Rany Boskie, zjadają-że, człowieku i ruszaj z Bogiem. A ty pewno nie wierzysz w Boga? To idź z diabłem, bo i mnie i ciebie rozwał. Też położenie człowieka! — usłyszał jeszcze Tomyski; a reszty nie usłyszał.

Skręcił w działki na dawnym Polu Wyścigowym i owładnięty przez niejasnego rodzaju wzruszenie, powtarzał, już nie myśląc, ale prawie szepotem: „Taka strona! Oto się nazywa stawiać ludzi w położenie moralne bez wyjścia...”

Myśli te błąkały się przez chwilę w jego wnętrzu i znikły jak znikła spadająca gwiazda, z którą nie wiadomo, co się stało.

— Sielanka pośród piekieł — myślał teraz pochłonięty majowym czarem działek, na które ludzie gęsto się wyroili, grzebiąc w piołowej glebie, cętkowanej zielenią młodych warzyw, co jeszcze się jąca, nasadzając. Śmierć nie groziła na razie za to schyłanie się nad zagonkami; wiosna tutaj tylko zdawała się być wiosną i niczym więcej ni mniej.



Tomyski niósł ze sobą najlżejszą z maszyn do pisania, zamienioną w zwykły osznurowany pakunek — rzecz nader pospolita w tych czasach noszenia i dzwigania. Było już blisko wpół do piątej, niebo jaśniało pogodą, słońce nabierało przedwioznych rumieńców. Młode groszki, cebulki, szczyptki zaczęły lśnić jak zielone światła. Słychać było wzmógłony pisk języków, które zniżyły lot.

Pisk języków słychać było i nad Filtrową i nad Skwerkiem. Lecz Alicja Świacka nie zauważała go. Jak większość ludzi Warszawy nie znała nawet nazwy tych czarnych błyskawic krzyżujących się tysiącami zygzaków po niebie Miasta. Przyczesywała siwiejące włosy, co piętrzyły się wysoko nad jej gładkim czołem i niemłoda ale przyjemną twarzą o lekkim nosie i oczach niebieskich w takie ciemniejsze prążki, jakie widać się na płatkach irysów. Następnie oddała się pedantycznemu myciu rąk, pieniąc je bez końca mydłem pod warkną strugą wody puszczanej z kranu w lśniąca misę. Gdy je wreszcie zaczęła wycierać, drzwi gabinetu otwarły się i zajrzała służąca o dużej nieruchomej twarzy i pochmurnym spojrzeniu, któremu nieznanemu zez dodawał jeszcze wyrazu jakby wyniosłości czy wzgardy.

— No, szłam właśnie budzić — oznajmiła niezbyt uprzejmie.

— Dziękuję, moje dziecko — uśmiechnęła się Alicja, choć do nikogo słowa „moje dziecko” mniej się nie nadawały, jak do kariatydy stojącej w drzwiach, ani przez nikogo uśmiech nie mógł być objętym przyjęty. Gdy ta znaczących rozmiarów osoba miała już zamknąć za sobą drzwi, Alicja zatrzymała ją.

— Heleno, czy pani Wanda z Jacusiem jeszcze nie wrócili?

— Są na Skwerku. Toć ich widać bez okna — zabrzmiała znudzona odpowiedź.

— A co ony? Śpi?

— A kto jego wie? Może umarł?

Z tymi słowy Helena odeszła. Alicja westchnęła. Ta pracownica domowa była jej prawdziwą zgryzotą „dochodzącą” i zrazu „dobrą” — w miarę jak się zaczynała orientować w stosunkach domu, a zwłaszcza od pojawienia się Anglika, posępiała z dnia na dzień, stała się opryskliwa i przykra. Doktor Alicja z trudem wytrzymywała obecność tej chmurny nieżyczliwości w domu, ale bała się Helenie wy mówić w takich czasach. Drżała nawet, żeby jej samej nie zachciało się odejść. Póki jest, czuje się chyba o tyle związana z nieprawomyślnością domu, że nawet gdyby była zdolna posunąć się do denuncjacji, musiałaby się dobrze nad tym zastanowić.

Przed kilku tygodniami Alicja Świacka spostrzegła, że Helena zdaje sobie sprawę z jej obaw. Odmówiła przyjęcia nowej podwładnej, poparłszy odmowę wzgardliwym zezem chmurnych oczu i mówiąc: — Pani doktor ma tam i tak tych wydatków, co ino. Niech się pani doktor nie boi — dodała. — Ja do gestapo nie pojde.

Alicja zrazu nie wiedziała, czy tłumaczyć sobie te słowa na dobre czy na złe. Będąc jednak zbyt udręczona (przypadło to właśnie na początek choroby Anglika), aby nie łaknąć jakiegos uspokojenia, wytłumaczyła je sobie na dobre. Ale kiedy po przebyciu kilku tygodniowej, Heleny, przyjrzący się jej, oświadczyła: — Te pani bardzo mi się nie podobą — Alicja znów struchlała. I nad domem znów Helena zaciążyła jak chmura, z której nie wiadomo, co padnie.

Ciężko się nad tym przez mglenie zamysłowy, Alicja wyszła z gabinetu, aby przed pacjentkami zajrzeć do Anglika, który leżał w odległym końcu dużego pięknego mieszkania. Kiedy stała pochylona nad purpurową z gorączki, wdzięczną o długich rzęsach i pobocistym łoku nad czołem, śpiącą twarzą młodzieńca, rozległ się dzwonek. A kiedy sprawdzała choremu tętno, weszła hałaśliwie Helena i oznajmiła głośno: — To ten pan, co byli tu raz na kolacji.

Alicja ucieszyła się Tomyskiemu więcej niż się spodziewała. Jej sympatia do tego starszego pana, któremu pięćdziesiątka nic nie ujęła z gładkiej twarzy i gładkiej kibiści młodzika, spotęgowana była przez ładunek wzruszeń czerpanych z jego twórczości. Toteż wyciągnęła do niego obie ręce, sama aż odmłodniawszy z uśmiechem.

— Taka serdeczna. To dobry znak — pomyślał Józef, niezadowolony w tej chwili do uczuć bezinteresownych. I od razu wyluszczył swoją sprawę, ale przez dyskreję nie powiedział wyraźnie o co chodzi. Piszę po prostu powieść, a wobec ostrzeżenia, które dostał, nie chciały, żeby to przypadkiem wpadło w niepowołane ręce. Potrzebuję tylko jednego popołudnia, żeby skończyć zaczęty rozdział. Kiedy to mówił, starając się być beztrzeskim aż do niedbałości o logikę szczegółów, zauważył jak przez twarz Świackiej przemknęło coś niby cień wahania i niepokój. Ten leciutki spłoszony wyraz jej twarzy i zwłoka w odpowiedzi, o włos dłuższa niż być powinno, wywarły na Tomyskim nieprzyjemne wrażenie.



— Czyżby się bała takiego głupstwa? Ze przez jedno popołudnie będę pisał w jej domu rozdział powieści? — zdziwił się, przypominając, że nie rozdział powieści ma pisać. Już miał cofnąć swą prośbę, ale nie było na to czasu, gdyż ledwo zdążył się zaważać, w pani Alicji nie było już śladu przelotnego spłoszenia. Ani w twarzy, ni w słowach, którymi zaprosiła go do zacisznej biblioteki, niegdyś pracowni naukowej zmarłego Piotra Świackiego, profesora matematyki.

— Panie Józefie — mówiła przygotowując na biurku miejsce pod maszynę — to jest najcichszy pokój. Myślę, że panu będzie tu dobrze pisać. A jak będzie dobrze, to niech pan przychodzi... Zawsze, ile razy pan zechce. Będę dumna, jeśli tu powstanie jedna z tych pana rzeczy...

Przerwała i znów zamilkła z uchylonymi ustami, z wyrazem napiętej uwagi, jakby wsłuchana w słowa, co przebrzmiały, lekkomyślnie gościnnie...



Tomyskiemu wydało się, że pani Alicja chce jeszcze coś powiedzieć. Czekał nie ułatwiają jej rozmowy, zycyliwy, ale nieobecny. Po chwili usłyszał, jak mówiła, że ludzkość nie może przeciw dążyć do zniszczenia samej siebie.

— Mówię to jako przyrodniczka — dowodziła zdziwionemu. — Zaden gatunek w przyrodzie nie dąży do własnej zagłady. Stąd cała moja wiara i nadzieja, że świat się opamięta i ludzie nie dopuszczą do zagłady ludzkości.

— Oczywiście — zgodził się Tomyski oswiawie. Nie miał czasu. Patrzył w podłogę, żeby Alicja nie dostrzegła, że się niecierpliwi. O mało nie zażartował: — Jak osoba przysparzająca szczygłowych przodków może mówić o zagładzie ludzkości?

Ale kiedy podniósł głowę, by to powiedzieć, ujrzał, jak niebieskie, ciemno prążkowane oczy lekarki zbierają łzami.

— Niech się pan nie gorszy — roześmiała się, wycierając chustką nos i oczy, z których płynęły już strugi łez. — To tylko nerwy. Miałam dziś przykry sen o zagładzie. Ale ja nie wierzę w samozagładę ludzkości. A gdyby nawet... My lekarze jesteśmy tak oswojeni ze śmiercią. Strach i przerażenie są tysiąc razy gorsze od śmierci.

— Prawie tymi samymi słowami powiedział to już Ballazar Gracjan. I pewno wielu innych. Przed nim i po nim. Nie trzeba płakać, pani Alicjo — zamruczał Tomyski, niezręcznie i onieśmielony.

A ona zapylała: — Gracjan? — Gracjan. Pisarz hiszpański z XVII wieku. Właśnie go czytam i wie pani...

Na tym nieudana rozmowa się urwała, gdyż prawie jednocześnie zabrzmiął jeden po drugim dwa dzwonki.

— Muszę już iść. Od razu zresztą powinnam była iść — zatroskała się Alicja. — Niech się pan nie gorszy — powtórzyła. — Ale przed panem nie wstyd nawet zapłakać.

Tomyski nie gorszył się. Był wzruszony. Zostawszy sam toczył przez chwilę z nieobecną jeden z tych natchnionych, porwijących dialogów, które udawały mu się najczęściej po czasie. Prędko jednak uporzył się z pokusą urojonej rozmowy i rażno przystąpił do roboty, chociaż nie była podobna do tego, co miałyby ochotę pisać. Ale dawała ten osobliwy rodzaj zadowolenia, jaki przynosi wykonywanie rzeczy nagląco potrzebnych, a odwodzących od właściwego trudu życia. Dla ludzi, których jedyny obowiązek społeczny polega na wyrażeniu siebie, taka służba, wynikająca z gwałtownych nakazów chwili, wbrew odwrotnym pozorom, jest jak „wagary” szkolne — przyjemnym uchyleniem się od świętej powinności. Coś takiego pomyślało się Tomyskiemu, gdy przetrwał, żeby zapalić papierosa. Jednocześnie usłyszał wesołe krzyki dziecka; mały wnuczek Świackiej wrócił widać z mamusią ze spaceru. Jego młody ojciec, porucznik rezerwy, Orchowski, był w polskiej armii zagranicznej, bodajże w Szkocji. Tomyski nie znał go. Mało znał i córki Świackich — tę Wandę i drugą, Barbarę, której maż był gdzieś na wsi administratorem folwarków Banku Rolnego.

— Matka była zawsze bardzo interesująca — pomyślał od niechęci. — Ale ta córka nie bardzo. O ile pamiętam, ta druga była ciekawsza. Zresztą nie wiem. Naprawdę kimś była w tej rodzinie. Nawet tego uczonego męża... tylko Alicja. To ich zawsze obra-

Dziecko przycichło. Raz po raz w różny sposób rozlegał się dzwonek — pacjentek tu nigdy nie brakło. Ale na ogół było raczej cicho. Józef pracował lepiej niż u siebie w domu. Przed ósmą skończył i zagłębił się w poprawianie tekstu. Opatrzył się dopiero, kiedy mały zegar na półce wydzwonił wpół do dziewiątej. Z pośpiechem zbierał papiery i obwiązywał maszynę.

— Za kwadrans Ludmiła — niepokoił się — zacznie szaleć, że nie wróce przed godziną policyjną.

W przedpokoju przywitał Wandę Orchowską. Była smukła, szczupła i jakby nie całkiem jeszcze dorosła. Nie odzywała się.

— Ładna — przyznawał w myśli — ale niesympatyczna.

Pani Alicja tymczasem za coś mu dziękowała; jej młode oczy miały tyle blasku, że nagle zobaczył ją niby całą w ich prątkowanej niebieskości.

— Nawet pan się nie domyśla — mówiła, otwierając mu drzwi — ile mi dała rozmowa z panem Jak mnie podniosła na duchu. Muszę was częściej widywać. I pana, i panią Ludkę.

— Marzę o tym — zapewnił. Był tak oszłomiony, że sam zapomniał podziękować za oddaną sobie przysługę. Aż chciał wrócić ze schodów, ale w czas przyszła mu na pamięć godzina policyjna.

— Przyjdzie z tym osobno — pocieszał się. — I musimy zaprosić ją do nas.

Wysiadłszy przy Polnej z tramwaju, skoczył jeszcze na Noakowskiego do przyjaciół, u których zostawił do pojutra wykonany rekopis. Ten dom był także pewny, ale Markowie mieli tylko dwa pokójki oraz czystych gości, więc tam by nie mógł pracować.

W domu powiedział Ludmiłie, że ze spaceru na działkach wstąpił do Świackiej, gdzie go trochę dłużej zatrzymano. Ludmiła Tomyska nie spostrzegła, że chodził z maszyną. Miała krótki wzrósł, a nie miała zwyczaj zauważania szczegółów. Józef unosił się nad wartością i urokiem Świackiej. Postanawiał, że muszą znaleźć czas, by odnowić przyjacielskie związki z jej domem i starał się rozpaść chęć ku temu w żonie, co nie było trudnym, gdyż pani Ludmiła, o ile tylko stan serca jej nie przygasał, na nic nie brakło chęci.

Alicja i Wanda pożegnawszy się z Tomyskim pędziły do żywego do jadalni, aby dopić herbatę (prawdziwą — z libzonskiej paczki) w towarzystwie doktora Jana Barycza.

Wysoki, rozległy w barach, jasnowłosy i pogodnego lica doktor Barycz przywodził raczej na myśl potężny łan zboża pod jasnym niebem niż mdłąca salę szpitalną. Tyłko w burych oczach szarzało trochę miejskiego znużenia. Był teraz lekko zdenerwowany skombinowanym dożynnym zastrzykiem danym tylko co Anglikowi — rodząj zabiegów, do których jak wszyscy internści nie miał zręczności. Nie krył nadto, że stan chorego jest nadal poważny. Zaledwie śmiał stwierdzić, że ciśnienie zdaje się przestało spadać. Jednak ukazanie się nowych odleżnych świadczyło o wciąż trwającej niewydolności krążenia. Alicja zakomunikowała koleżce swoje obserwacje w związku z tętnem, które się poprawiało. Lepsze rokowanie dawał też nieznaczny spadek temperatury. Wiek pacjenta przemawia również za wyzdrowieniem, ale czy w czasie rekonwalescencji nie wystąpią zakrzepy? Wypadek był o tyle ciężki, że trzeba się z tym liczyć.

Po wymianie swych obaw i nadziei siedzieli chwilę marketni i nieskłonni do naradzania się nad rzeczą, która ich nurtowała: „Co zrobić z ciałem, jeżeli chory umrze?” Nie wiadomo zresztą, co nurtowało Wandę, której młodociana twarz i wypukłe czoło wyrażały szczególną zacietość i jakby obcość temu, co zajmowało dwoje lekarzy.



Jej małe pełne usta wzete po matce — jedynie znamie jakiejś lubej dojrzałości w tej pensjonarskiej urodzie — to zaciskały się

to uchylały, niby walcząc z chęcią powiedzenia czegoś nieoczekiwanego. Ale milczała.

Niebawem zresztą doktor Barycz westchnął: — No, czas już na mnie. — I choć, jak większość lekarzy, miał nocną przepustkę, zaczął się zbierać do wyjścia. Zegnął się w przedpokoju, rzekł jeszcze:

— Strzelanina była na mieście, kiedy tu szedłem. Tęga jakaś akcja, bo słyszałem i granaty i rozpylacze.

Wiadomości wywołała dwoiste uczucie. Przerazenia nad losem nowych ofiar, co padną od niemieckiej zemsty — radości, że opór daje o sobie znać, że Niemców zaczyna w tym kraju na dobre strącać.

Ale radość była bardziej bezpośrednia. I choć Alicja Świacka, jakby spłacając daninę na rzecz uczucia ludzkości, szepnęła: — Jezus Maria, będą nowe ofiary! — to jej niebieskie lśniące oczy załśniły jeszcze bardziej, a jej miła twarz z lekkim nosem i pulchnymi ustami wyraźnie poweselała. Nawet Wanda ożyła. I jak zwykle bywa przy pożegnaniach, w ostatniej chwili wywalała się intensywna przyszona rozmowa. Doktor wyszedł obdarzony świeżym komunikatem radiowym.

Zaryglowawszy drzwi, obie panie przeszły na chwilę do dziecka, które pod okiem Heleny siedziało na nocniczku i myląc się śpiewało:

— Jesteś Polką nie żginena, póki mi giniemy!
— Dlaczego to dziecko jeszcze nie śpi? — oburzyła się Wanda. Powinien dawno już spać!

— Czy ja wiem, czemu nie śpi? Nie śpi! Nie da się kłasić. — I Helena ze słowami: — To ja już idę — wyniosła, rzekłszy, z pokoju swą twarz ciężką i nieruchomą jak mur.

Alicja rzekła rozbierając Jacusia:

— W takiej trywialnej chwili to dziecko wyspiewało taką paradoksalnie tragiczną prawdę. Bo tylko póki giniemy...

— Mama robi się strasznie melodramatyczna — skarciła ją Wanda.
— Duduniu — Melodramat czy nie... Ale chyba dosyć mamy powodów, żeby rozumieć, jaka jest sytuacja.

Wanda spojrzała przenikliwie czarnymi oczyma ojca. Spytała niecierpliwie:

— Jaktó, mamó, więc ty nie rozumiesz, że Allan nie może umrzeć? On nie może umrzeć! — powtórzyła z naciskiem.

Alicja przypatrzyła się córce zdziwiona, gdyż nie Anglika miała w tej chwili na myśli.

Dziecko już ułożone wołało z łóżeczka:

— Mamusiu, pocałuj mnie! Pocałuj mnie! Mnie, mnie pocałuj! Mnie, mamusiu, pocałuj!

Wanda schyliła się nad synem: — Już ci mamusia pocałowała. Już ci powiedziała dobranoc. Masz spać. Dawno masz spać.

Wyszły obie na palcach. Pani Alicja, widząc, że Wanda zmierza ku pokojowi chorego, przystąpiła do listeczka i pomknęła do wnuka, słońcającego z rozpaczą. Rzucili się sobie w objęcia.



— Babcu — kwiliło dziecko. — Pamiętasz, jak my się z tobą całowali na skwielku? Jak my się z tobą całowali się?

Kiedy dziecko usnęło, Świacka poszła do Zofii Nussenowej, która kładła pasjanse. Jezykiem lekarza zaczęły mówić o chorych. Zofia była wychudzona wskutek przeżytych wstrząsów. Nie miała w sobie nic ze Wschodu ni Poludnia, lecz była — w jakimś północnym sposób — niebezpiecznie semicka. Włosy jej — przedtem nim nagłe postawiła — były jasne. Wysokonoga, co rzadkie w jej plemienu, obfita w piersiach, z dużą głową, olbrzymim profilem i wielkimi wysadzonymi oczyma wodnistą — niebieskimi barwy, nieładną, ale jeszcze gwałtownie interesującą — należała do tych świetnych kwiatów żydowskiego mieszczaństwa, którym zdarza się, że za młodu wyjeżdżają za granicę i wychodzą za cudzoziemców, admirałatorów du charme slave (uroku słowiańskiego), podziwiane za polską miękkość kobiecą, i polskie wesole usposobienie. Zofii też za młodu zdarzyło się coś podobnego. Poprzestała jednak na szwajcarskim narzeczonym z czasów studenckich i wróciwszy panną do Polski wyszła tu za męża; z mężem się rozeszła i o losach jego nie wiedziała, jedyny zaś syn jej był w oddziałach polskich gdzieś na Bliskim Wschodzie czy w Afryce.

— Ali — rzekła teraz do przyjaciółki, przerywając milczenie, nagle między nimi zapadłe. — Ty dziś jakaś nieswoja. Czemu? Ja mam tobie dodawać odwagi? Popatrz na moje położenie. Czysty obłęd! A byle trochę spokoju w takim domu jak twój, zaraz odzyskuję energię, że na ściany bym szła. Czy można chcieć więcej? Co jeszcze może być dodane do tej śmierci, co mamy w sercu, że ty przedwczoraj byłaś taka wesola, a dzisiaj tak cię nie? Wiesz? — przeszła na swoją sprawę. — Jeżeli mnie wykończą, to jeszcze ginąc będę szczęśliwa, że przeżyłam tę chwilę wejścia do twego domu. Boże! Jak ty mną się ucieszyła! Siu-

chaj Alicja! Żadne spotkanie z najczulszym kochankiem nie dałoby mi tej wiary w życie, co twój uśmiech jak wieszłam. A już serce w łód mi się obracało! Kochana, ocen to. Żyję w moim położeniu są gorczy jak piotun. Uśmiechem ich nie rozbrosisz. Tylko jeśli się za nich umrze, zdolni są przynajmniej, że się nie było antysemitą... No, uśmiechnij się, ty moja mężna. Czy ty się boisz?

Alicja uśmiechnęła się.
— Jesteś surowa dla Żydów. Bywa różnie.

Przesiadłszy się z kanapy do stołu, wzięła delikatną rękę Zofii i wsparła swój policzek o te dwie ręce splecione.

— Moja droga — zaczęła, wpatrując się w jakby zdumione wypukłe oczy Nussenowej. — Nie boję się... A raczej — boję się trochę o ciebie. Bo widzisz... Wszystkie nasze domy. Nie, nie tak to łatwo powiedzieć. Widzisz, to ich specjalność — Niemców, mówię — urządzić takie moralne położenia bez wyjścia. Bo każdy nasz dom...

— Wolę umierać za Polskę niż za Żydów — przerwała Zofia z czerwienią w twarzy, aż po korzenie włosów.

— Ah, Zofio! I ty także! Wszystko jest inaczej. Zdawało mi się, że cię oszukałam, rozumiesz? Chciałam ci ostrzec, żebyś w razie czego nie miała żalu. Bo ty się nie domyślasz nawet, że w tym domu...

— Coś takiego? — przerwała znowu Zofia. — Ja się nie domyślam? Cudnie głupie stworzenie, za kogo ty mnie masz? Ja się wszystkiego domyślam. Już ja mam teraz ucho i oko, no! Ty myślisz, że ja nie wiem, że i ciebie w domu coś się dzieje? Ty mi nie powiesz, że twoja Wanda zajmuje się tylko Jacusiem. Biedactwo — pewno myślała: ona, jak drudzy, tylko o swoim ocaleniu. Myślisz się. Twój dramat jest i moim. Wlem, że gdzie przechodzimy, narażamy nie tylko ludzi, ale i sprawy. Święte sprawy. No co? Także moralne położenie bez wyjścia.

— Bez łatwego wyjścia — poprawiła ją i siebie Alicja. — Ale już wszystko dobrze. Idzie tylko o to, żebyś wiedziała, żebyś nie była zaskoczona.

— Co mnie może zaskoczyć? — pytała Zofia z niewymowną słodyczą. — Czy ja nie chodzę jak po własnym groźbie? Ja zresztą wszystko przewidziałam. Ta mała, co mnie odprawiała... Też takie głupie polskie cudo. — Nikt tego nigdy nie uczył — zrobiła nawias. Otóż ta mała zawiadomiła już chyba ludzi, co dawno dawali mi znać, że na czarną godzinę mają dla mnie jakieś stuprocentowe „czyste” schronienie. Sama nie mogłam do tych ludzi jechać, bo tam już dom zapakowany Żydami. Ale oni się zgłoszą.

— Kochanie — roześmiała się Alicja. — Gdyby mi było pilno ciebie się pozbyć natychmiast, mogłam ci dać świetne mieszkanie — pomyślała o Tomyskich. — Boję się, że właśnie przez egoizm chciałam się tobą nacieszyć. I to mnie tylko gryzło, że...

W tej chwili — było już wpół do jedenastej — ktoś zadzwonił do drzwi frontowych ostro i długo jak na pożar.

Alicja zerwała się: — Jezus Maria! Dziecko mi zbudzą!!

Wszystko się w domu zaruszało, ale nim Alicja i Wanda zdążyły dobiec do przedpokoju, Helena już widąc otworzyła. W kuchni słychać było zdyszany męski głos, który naglił: Przedz! Wody!

Kiedy wpadły do kuchni, Helena zdierała marynarkę z chłopaka zgiętego w pół i opartego drugą ręką na karku, głowę miał tak zwieszoną, że długie włosy z nadczoła leciały mu poziepijnymi promieniami na deskę stołu. Helena krzyknęła:

— Niech panie sobie odeńdą! To moja rzecz!

Alicja owładnął zawodowy spokój, a twarz jej przybrała stanowczy męski wyraz.

— Jaktó? — zdziwiła się. — Przecież to ranny. Idź Duduniu zaraz po Zofię. Będzie mi potrzebna — zwróciła się do córki. — Chwała Bogu — dodała rażno. — Myślałam, że to gestapo.

Wzięła się do mycia rannego, wydając krótkie pewne siebie zlecenia Helenie, która nagle zaczęła potulnie słuchać i służyć. Rany nie były groźne, tylko duży upływ krwi.

— Czy to z tej strzelaniny, co była nad wieczorem? — informowała się — czyniąc swoje.

— Z tej. Siedziałem w ruinie do nocy i przez to krew tak uszła. Mnie jest nieprzyjemnie — zmartwił się ranny — że tak zdżwoniłem. Ale mnie zamroczyło. A nie mam w mieście nikogo, tylko ja. I to że tu jest pani doktor... Ze paratu.

Objawwszy mu twarz, Alicja poznała brata Heleny, który tu czasem u niej bywał. Był do niej bardzo podobny, tylko co u niej zdawało się ciężkie i niepowabne, w nim było młodzieńczo piękne. Nie miał więcej nad osiemnastkę lat.

— A to Helena wiedziała, że on należy do organizacji?

— Com nie miała wiedzieć — odparła wyniośle. — Broń u mnie, cholera, trzymaj.

— Jak ty się przy pani doktor wyrażasz! — zgromił ją ranny. — Proszę pani doktor, byle do świtu. A zaś do lasu. Broni nie mam. Proszę zmacać. Zakopalem w ruinie. Jej powiem — wskazał wzrokiem na siostrę — gdzie ma szukać. Ona i z piekła wyniesie i do piekła odniesie — pochwalił,

Rany na twarzy były dwoma zdrańcami od przebiegu dwu kul. Wystarczyło zalepić je plasterem, by wyglądały na skutki pi-jackiej biatytki. Głębsza była w ramieniu, ale kość pozostała nie-tknięta. Zofia Nussen zrobiła za-strzyk glukozy, powtarzając z zachwytem: — Czysty obłęd! — Wanda sprzątała skrawione strzępy gazy. Alicja dała chłopcu szklan-kę wina i bułkę z szynką. Położo-ny w gabinecie przyjeź — natych-miast zasnął. Dziecko się nie zbu-dziło.

Alicja nie zdążyła się dowie-dzieć, jak młody się tu dostał. Czy wpuścił go dozorca? — to ją drę-czyło, chociaż dozorca w tym do-mu był pewny. Ale nie. Ranny pe-łzał chyba działkami. Mógł wejść od tyłu przez rozgrodzony teren zrujnowanej w czasie oblężenia willi na Krzyckiego. Rozwazały to chwilę z Zofią, która tarła ręce i trochę drżała nerwowo.

— Idź, kładź się — rozkazała jej Alicja, cała jakby spotężniona przez władcy urok człowieka, pe-ł-



niącego zgrabnie służbę w swoim zawodzie. — Heleno, proszę się za-raz położyć — zwróciła się do słu-żącej, która siedziała z twarzą u-krytą w rękach nad śpiącym bra-tem. Ta nie podlegała jednak uro-kom i odsłoniwszy tylko twarz, za-wiadomiła sorkostko:

— Tu przeszedł. Skoro świt wy-prowadzę go. Tylami.

— No, to jak chcesz — zmieniła Świacka niby zdejmując rysztu-nek. — Jakby mu co było, to pro-szę mnie obudzić.

Zajrzała do Nussenowej, która leżała już w łóżku, ale jeszcze przy świetle, i paliła papierosa. Na wi-dok Alicji powtórzyła swoje: — Czysty obłęd. Jak sam spirytus! — wzmochniła jeszcze.

— O, moja droga! — wykrzyk-nęła Świacka uszczęśliwiona. Kamień spadł mi z serca. Ja się tak bałam tej Heleny!

I opowiedziała o swoich podej-rzeniach. Zofia wysłuchawszy spro-stosowała z czarującym uśmie-chem:

— Kochanie. Ty się bałaś tylko, że dziecko się obudzi.

Alicja nie podjęła już rozmowy przerwanej owym dzwoniem po-nocnym. Uznała, że Zofia została dostatecznie, acz w sposób dosyć nieoczekiwany, objaśniona z niebezpieczeństwami domu. Po ci-chniku wśliznęła się do pokoju dziecka, z którym zazwyczaj sypiała Wanda. Ale na Wandę przy-padała dziś noc czuwania nad An-glikiem.

Przed dniem zbudził Świacką skrzyknięcie drzwi i chodzenie na palcach. To Helena wyprowadzała brata. Przez myśl Alicji przebieg-ło, że powinna była chłopca na jakie dwa dni zatrzymać. Ale nim zdążyła się zerwać w tym celu, znów zasnął.

W południe tego dnia Anglik od-zykał przytomność. A kiedy po tygodniu był o tyle mniej słaby, że mógł z nim rozmawiać, Alicja swoją fatalną angielszczyzną opo-wiedziała mu, że miał tyfus plami-sty i jaki był przebieg choroby. Fotem nastała cisza, tylko pulchne i pełne lubej dojrzałości usta Wan-dy zaciskały się i uchylały na prze-mian w jej nadąsaną twarz. Allan patrzył długo to na te usta, to na niebieskie z ciemniejszymi prążkami przychylne oczy Alicji. Drżącą ręką usiłował odsunąć z czoła pozostawiony lok, z takim wysiłkiem jakby to był lok z glazu. Z jeszcze większym wysiłkiem po-wiedział:

— W Anglii nie ma człowieka, który by dla kogokolwiek na świecie zrobił to, co wyście zrobi-ły dla mnie.

A gdy milczały, powtórzył to raz jeszcze, wyraźnie i powoli.

Alicja uśmiechnęła się winowaj-czo.

— W Anglii... — odpowiedziała.

— O, w Anglii to nie byłoby po-trzebne. Tam nie jest możliwe tak-ie położenie człowieka.

Ale wyraziła to po angielsku tak nieporadnie, że aż Wanda wzru-szyła ramionami, Allan zaś nie całkiem zrozumiał. Obie jednak doznały wielkiej ulgi, że oto wszy-stko zaczyna się obracać na dobre.

Gestapo nie przyszło do kamieni-cy na Mokotowskiej, ale Tomys-ki nie znalazł jakoś czasu dla na-wiązania obiecanych sobie stosun-ków towarzyskich z domem Świ-ackiej. Dopiero w drugiej połowie maja Tomyski spotkał niespodzian-nie Alicję u dentystki. Spotkać lekarza u lekarza jest rzeczą tak zabawną, że był mimowoli rozwe-selony. Zresztą w ogóle ucieszyli się sobie całkiem niewspółmiernie do uczuć, jakie dla siebie żywili. Świacka zdawała się lekko podnie-cona i miała szczególnie pasowe usta. Aż się zdziwił, że osoba w tym wieku (chyba grubo po pięć-dziesiątce) może mieć tak ponętne czerwone usta i mimo woli przy-patrywał się temu. Od razu to spo-strzegła i uśmiechnęła się obja-śniła rzeczowo:

— Pan pewno myśli, że mam u-malowane usta. Nie, to z serca. Kilka niespanych nocy z tachikardi-ą i przerywaniem się tętna daje ta-kie przekwienie błony śluzowej na wargach. Trochę się przeme-yczłam ostatnio i będę musiała

choć na krótko wyjechać. Pewno pojedziemy wszyscy troje do Basi. Do mojej córki na Podlasie.

Byli sami w obszernym salonie, służącym za poczekalnię. Nim Tomyski zdążył coś odpowiedzieć, Alicja przesiadła się nagle na fotel tuż koło niego stojący. Rozjezrawiwszy się przedko do pokoju, szepnęła mu się prawie do ucha i szepnęła powoli: — U nas był Anglik...

Z rodzajem wywołującego unie-sienia, jakby zwolniona ze ślubu i niezdolna już nieść sama ciężaru tajemnicy, opowiedziała mu histo-rię tyfusu plamistego. Józef słu-chał, nie śmiając jej przerwać, ani się o nic pytać. Odetchnął, kiedy usłyszał, że nie ma już u Świackiej tego Anglika.

Musił się przenieść gdzie in-dziej, chociaż nie jest jeszcze cał-kiem zdrow. Dom jest ściśle obser-wowany, dostaliśmy ostrzeżenie od naszego wywiadu. Tak że trzeba było zilkwidować punkt i w ogóle odczyścić trochę dom. Bo proszę pa-na, Anglik to jeszcze nie wszyst-ko...

— No, dobrze — przerwał Józef. — Ale pani mi nie powinna tego mówić. Dlaczego pani mi to mówi?

— A komuż mam ja mówić? Ktoż ma o wszystkim wiedzieć, jeśli nie pan? — jakby ganiąc go, zdziwiła się Alicja.

I porzucając ten temat, przy-pomniała sobie nagle:

— A, prawda. Wie pan, co on powiedział, kiedy był już przytom-ny? Powiedział, że w Anglii nie ma ani jednego człowieka, który by zrobił dla kogokolwiek to, co myśmy zrobili dla niego.

Wpatrzyła się w Józefa pytająco, jakby szukała w jego twarzy wytłumaczenia owych nurtujących ją widałów słów. Odpowiedział po cięż-kiem namyśle:

— Są takie położenia historycz-ny, w których jest tylko miejsce na etykę ryzykowną i bohaterką. I takie, gdzie wystarcza zwykła u-normowana moralność społeczna. Kto wie — dodał z wahaniem — czy wyższa cywilizacja nie likwi-duje potrzeby bohaterstwa. Przy-najmniej takiego jak nasze.

— Tak — zgodziła się Świacka — Może ta ich cywilizacja likwiduje potrzebę, a nawet możliwość, ta-kiego bohaterstwa. Ale jej wiel-kość strasznie zwiększyła naszą zdolność do bohaterstwa. Chcemy jakoś dorównać tak wielkiemu sokołownikowi. A nawet go prze-wyżyć. Czymże go przewyżzymy, jak nie szaleństwem ofiary? Jak nie jakimś bezinteresownym dobrodziejstwem?

— To dobrodziejstwo — pod-czywił — którym pani się wy-wyższyła ponad możliwość wysy-tek Anglików wobec jakiegokol-wiek człowieka, zwiększy tylko obojętność między nimi a nami. Bo szaleństwa bohatera ofiary wy-bacza się tylko między równymi. Równymi w poczuciu obu stron — podkreślił.

Gdy mówił półszeptem słowa „obu stron” — w sąsiednim gabi- necie dentystki wszczął się lekki ruch. Ciszę zabiegów przerwał od-głos rozmowy i szczerkanie rzuca-nych do dezynfektora narzędzi den-tystycznych. Wypuściwszy pacjen-ta innymi drzwiami na przedpo-kój, niedługo wesołej twarzy brunetka w białym fartuchu stanęła w progu salonu. Zapraszając gestem Świacką, a przyjaznym ski-nieniem witając Tomyskiego, po-wiedziała:

— Proszę panią doktor.

Alicja pożegnała się przelotnie z Tomyskim, którego teraz pochło-nęła jego własna sprawa. Wstąpił się swego zgorznięcia, że pani Ali-cja tak się spłoszyła wtedy, kiedy to przyszedł by do niej ze swą ro-botą plarską. Czui się lekko upo-korzony, jak człowiek, któremu się zdawało, że był dzielny, gdy poma-żał tylko wówczas niebezpieczeń-stwa znoszone przez dzielność tej kobiety. Rozumiał teraz, że ba-ła się o niego.

— Błazen — pomyślał o sobie bez złości.

Trochę, by się ze swoich ówczes-nych — nieznanych Świackiej — uczuć wytłumaczyć, a trochę z nie-pokoju o nią, pobiegł nazajutrz do kliniki, której Alicja była udziało-wczynią i ordynatorem. Dyżurny lekarz powiedział mu, że doktor Świacka jeszcze wczoraj wyjecha-ła na wieś.

— Widać — pomyślał — musia-ło jej się palić pod nogami.

W ciągu blisko miesiąca Józef To-myski nie miał głowy zajmo-wać się losami doktor Świackiej, za-przątnięty mnóstwem spraw drob-nych lub ważnych, które się jed-nak działy w tę noc bez dzieł. Niekiedy cieszył się w myśli, że wyszła obronna ręką z tak ciężkich okoliczności. Dopiero w czerwcu stanął znów oko w oko ze sprawą Alicji.

Szedł raz nad wieczorem Aleją Niepodległości aż z Różanej, gdzie miał spotkanie z redaktorem ga-zetki, do której Alicja była udziało-wczynią i ordynatorem. Dyżurny lekarz powiedział mu, że doktor Świacka jeszcze wczoraj wyjecha-ła na wieś.

— Widać — pomyślał — musia-ło jej się palić pod nogami.

Wraciwszy do domu Tomyski wtajemniczył od razu we wszy-sko swoją wspaniałą sędziwą żonę i przytoczył jej słowa, powiedziane do Świackiej przez Anglika.

Pani Ludmiła nie przejęła się Nussenową, gdyż tego rodzaju za-grożeń gościł już kilka razy prze-łotnie w ich domu. Ale opowiada-nia o Angliku wysłuchała z rozją-trzeniem.

— A ja ci zawsze mówiłam — tryumfowała — że Anglicy nie są gentlemanami. Biedny Conrad, na darmo ich uczył, jak się ma czło-wiek zachowywać w obym środo-wisku. Prawdziwego angielskiego gentlemana można jeszcze znaleźć tylko w Polsce. Ot, Świacka!

A potem dodała:

Przywitali się z przyjemnością i po wstępnych: — Co słychać? — Jerzy powiedział: — Myślałem właśnie o panu i cieszę się, że pa-na spotykam. Pan zna Świacką... — przyczyl się głos.

— Bardzo dobrze znam — po-twierdził Józef i cały zawrzał z niedpokojem. — Nie wiedziałem, że pan ją zna.

— Znam ją dawno. Rok temu nasz kurs podziemny odbywał się w domu Świackiej.

Kochański obejrzał się. Zmierz-chało. Ulica biegła działkami, z których już ludzie odeszli. Było pu-sto.

— Otóż, proszę pana, trzeba ra-tować tę kobietę — rzekł nagląco. — Te kobiety — poprawił się.

— Tomyski zdziwił się.
— A bo co? —
— Otóż proszę posłuchać.

I Kochański opowiedział o An-gliku, wymieniając nadto inne nie-bezpieczeństwa domu Świackiej, których Józef Tomyski nie znał. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, że ktoś prócz niego, i nawet więcej niż on, wie o tym wszystkim, a zwłaszcza, że mówi bez ogródek o takich tajemnicach. Po prostu męż-czyźni się słuchają.

— No, dobrze — odezwał się na koniec — Nie rozumie. Przecież to wszystko, co pan opowiada, nale-ży już właściwie do przeszłości. Farę tygodni temu spotkałem Świacką i mówiła mi, że dom jest czysty. Czy wróciła już ze wsi?

— Otóż nic nie należy do przesz-łości. Obie wróciły już ze wsi. A że nic złego przez ten czas na Fil-trowej nie zaszło, popadły w taką ufność do swego szczęścia, że wszy-stko zaczęło się na nowo.

— Jaktó? I Anglik?

— Otóż i Anglik. Dostał w cza-sie rekonwalescencji skrzepu w nodze. Tam, gdzie wzięli, nie mógł leżeć. Zresztą, pan wie, co to jest dla lekarza — jego chory. Jed-ynym słowem — wrócił. Wróciła też ta lekarka Żydówka. W świetnym

mieszkanu, które jej ktoś tam na-raził, musiano zainstalować jeden z nasłuchów radiowych. Kwesłta przypadła. Mniejsza z tym. Idzie o to, że dom Świackiej nadal jest pilnie obserwowany. One nie dają temu wiary. Taki jest nasz czło-wiek. Otóż pan jeden może prze-mówić Świackiej do rozumu. Pan jest autorytetem dla niej. Anglik już chodził. Może wróci dalej.

— No, dobrze. Przemówię jej do rozumu. Ale nie wiem, czy córka mnie posłucha.

— Jeśli nie posłucha, to zgubi matkę. Świacka jest wartości- samą w sobie. Taką jak skład bro- ni, czy coś takiego. Trzeba to zro-bić prędko. Najdalej jutro.

— Zrobię to jutro. Zabiorę po prostu bagaż Świackiej do siebie.

— Pana życia też lepiej by nie narażać. Po co Niemcom ułatwiać zadanie? — Wyniszczyć twórczą inteligencję, to ich marzenie. Zre-sztą zgoda — przeciał wpatliwości — To będzie krótko trwało. Za trzy dni najdalej wojsko zajmie się An-glikiem. A ja się zgłoszę po te Nu-ssenową.

— Zrobione.

Gdy szli ku Polnej pomiędzy kartoflami, Tomyski dodał lojal- nie:

— Robię to tylko dla Świackiej. Z tym Anglikiem. Bo myślę, że mogłoby znośić los jeńców. Jak ty- lu naszych... Anglicy są pieszczo- chami obozów. Nic im tam nie brak. Cały świat staje oto na głowie...

— Nic, prócz wolności — prze-rwał Kochański. — Otóż są mniej od nas przyzwyczajeni do znosze- nia braku wolności.

Tomyskiemu przypomniała się sklepikarka z Polnej.

— No, i ta pewność, że im nikt nie powie: „Idź, bo mnie i ciebie rozwała”. To przesuwanie, że do czego by służył taki Polak, co by nie umiał lekko umierać.

Stali już przed Mokotowską pięć, gdzie mieszkał Tomyski Jerzy Kochański nie podjął rozmowy. Zbli- żała się godzina policyjna, miesz-kać zaś dosyć daleko. Podziękował i umówił się, że wpadnie jutro w południe, by omówić szczegóły „przewiezienia bagażu”.

Tomyski zagabnął go jeszcze: — A dziecko? Ten wnuk pani Alicji?

Anielski uśmiech rozwidnił ostrą twarz Kochańskiego.

— Na szczęście zostało na wsi u cioci Basi — powiedział miękko. Miaci córeczkę, którą uwielbiał.

Wraciwszy do domu Tomyski wtajemniczył od razu we wszy-sko swoją wspaniałą sędziwą żonę i przytoczył jej słowa, powiedziane do Świackiej przez Anglika.

Pani Ludmiła nie przejęła się Nussenową, gdyż tego rodzaju za-grożeń gościł już kilka razy prze-łotnie w ich domu. Ale opowiada- nia o Angliku wysłuchała z rozją- trzeniem.

— A ja ci zawsze mówiłam — tryumfowała — że Anglicy nie są gentlemanami. Biedny Conrad, na darmo ich uczył, jak się ma czło-wiek zachowywać w obym środo-wisku. Prawdziwego angielskiego gentlemana można jeszcze znaleźć tylko w Polsce. Ot, Świacka!

A potem dodała:

— Trzeba będzie jutro skończyć z chowaniem zimowych rzeczy. Bo jak dom będzie pełen tych Angli-ków, to nic nie można będzie zro- bić.

Mimo spokój, którego miała za- wsze więcej od niego, Tomyski kładł się spać w strachu, czy Lud- miła nie zachoruje w nocy na ser- ce. Nieraz przyjmowała najgorsze rzeczy świetnie, a potem opłacała to przypadkami sercowymi. Bał się zwlazcza bezsennej nocy, w którą będzie przeżywała — nie za- powiedzianych gości — lecz strach o jego pójście do tego domu na Filtrówę.

Przeznaczenie się oczywiście. Bo gdy tylko pani Ludka przyłożyła swą piękną głowę do poduszki, usły- szął głęboki równy oddech smacz- nego snu.

Sam zasnął dopiero nade dnem. Ale wstał wcześniej i poszedł naj- pierw do kliniki na Poznańskiej, gdyż tam spodziewał się rano za- stać Świacką.

Był prześliczny poranek czerwco- wy. Jeden z tych, w które słoń- ce i niebo zdają się być sprzymie- rzencami człowieka. Toteż Józef stropił się, kiedy w klinice powie- dziano mu, że pani doktor przy- jdzie później, bo miała w nocy nag- łą i ciężką operację.

Nie zwlekając, pojechał tramwa- jem na Filtrówę. Wyskoczył przy końcu Skweru i przeczekał aż tramwaj odjedzie, chciał przejść na drugą stronę, ale po pierwszym kroku cofnął się na chodnik i stanął jak wryty. Bo w tej chwili frontowe drzwi naróżnej kamien- icy otwarły się i w orszaku rezedo- wych mundurów ukazały się w nich kolejno trzy osoby. Pierwsza szła doktor Alicja Świacka, za nią jej córka, Wanda Orchowska. Trze- ciał była nieznana Tomyskiemu starsza pani o wspaniale semickim profilu i wypukłych zdumionych oczach. Jednocześnie rozpoznal, że u brzegu chodnika stoją dwa od- kryte auta, jakimi jeździł zwykle gestapo. Świacka i jej córka szły z odkrytymi głowami, patrząc pro- sto przed siebie i nie widziały go. Były spokojne, a pani Świacka na- wet się uśmiechała.

W czasie gdy kobiety siadały do pierwszego samochodu, z drzwi ka- mienicy wyszło znowu paru zbroj

ANDRZEJ ŻDANOW

O ZAGADNIENIACH MUZYKI RADZIECKIEJ*)

Toczy się u nas ostra, chociaż od zewnątrz zamaskowana walka między dwoma kierunkami w muzyce radzieckiej. Jeden z nich — to zdrowy i postępowy nurt, opierający się na uznaniu ogromnej roli klasycznego dziedzictwa, a w szczególności tradycji rosyjskiej szkoły muzycznej, na skojarzeniu wysokiego poziomu ideowego i treściowości muzyki, jej szczeroci i realizmu, głębokiego organicznego związku z narodem, jego muzyczną i pięśniarską twórczością, poziomowi, któremu towarzyszy wysoki kunszt zawodowy.

Drugi kierunek wyraża się w obcym sowieckiej sztuce formalizmie, w wyrzuceniu się klasycznego dziedzictwa pod hasłem rzekomego nowatorstwa, w wyrzuceniu się ludowości muzyki, w wyrzuceniu się służby narodowi na rzecz obsługiwanie głęboko indywidualistycznych przeżyć niewielkiej grupy estetycznych wybrańców.

Kierunek ten wymienia muzykę naturalną, piękną, głęboko ludzką na muzykę fałszywą, wulgarną i często po prostu na muzykę patologiczną.

Przy tym cechą charakterystyczną drugiego kierunku jest to, że unika ataków frontalnych uważając, iż wygodniej ukrywać swą działalność rewizjonistyczną pod pozorem rzekomej zgodności z podstawowymi zasadami realizmu socjalistycznego. Tęgodzaju „przemysłowe” metody nie są, rzecz prosta, nowością. W historii można znaleźć wiele przykładów rewizjonizmu pod pozorem rzekomej zgodności z zasadniczymi założeniami krytykowanego kierunku.

Tym bardziej więc konieczne jest zdemaskowanie istoty tego drugiego kierunku i szkód, jakie przynosi on rozwojowi muzyki radzieckiej.

Wzemy dla przykładu zagadnienie stosunku do klasycznej puścizny. Jakkolwiek wyżej wspomniany kompozytorzy mogliby się zakłaniać, że oboma nogami stoją na gruncie klasycznej puścizny — nie nie wskazuje na to, że zwolennicy szkoły formalistycznej kontynuują i rozwijają tradycje muzyki klasycznej. Każdy słuchacz powie, że dzieła kompozytorów radzieckich typu formalistycznego z gruntu niepodobne są do muzyki klasycznej. Cechami charakterystycznymi muzyki klasycznej jest szczeroci i realizm, sztuka osiagania jedności wspaniałej formy artystycznej i głębokiej treści. Połączenie najwyższego kunsztu z prostotą i dostępnością. Muzyce klasycznej w ogóle, a rosyjskiej w szczególności, obcy jest formalizm i wulgarny naturalizm. Charakterystyczna jej cechą jest wysoki poziom ideowy, oparty na uznaniu ludowej twórczości muzyki, jako źródła muzyki klasycznej, głęboki szacunek i miłość dla ludu, jego muzyki i pieśni.

Jakżi to więc odwrót od wytkniętej drogi rozwoju muzyki ze strony naszych formalistów, gdy, podkopując podstawy rzeczywistej muzyki, tworzą muzykę zwyrodniałą, fałszywą, przesiąkniętą idealistycznymi przeżyciami, obcą dla szerokich mas ludowych, obliczoną nie na miliony ludzi radzieckich, ale na jednostki i dziesiątki wybrańców, „na elitę”! Jakże to odbiega od Glinki, Czajkowskiego, Rymskiego-Korsakowa, Dargomyżskiego, Mussorgskiego, którzy podstawę rozwoju swej twórczości widzieli w zdolności wyrażenia w swych dziełach ducha narodu, jego charakteru! Ignorowanie potrzeb narodu, jego ducha, jego twórczości oznacza, że kierunek formalistyczny w muzyce ma jaskrawy charakter antyludowy.

Jeżeli wśród pewnej części kompozytorów radzieckich popularna jest teoryjka, że rozumiemy nas za 50—100 lat, że „jeśli nie mogą nas zrozumieć współcześni, to zrozumieją potomni” to jest po prostu rzecz straszna. Jeśli zyliscie się z tym, to także życie jest rzeczą bardzo niebezpieczną.

Rozumowanie takie równoznaczne jest z oderwaniem się od narodu. Jeśli jako — pisarz, malarz, literat, działacz partyjny nie licze na to, by mnie zrozumieć współcześni, to dla kogo właściwie żyję i pracuję? Prowadzi to przecież do pustki duchowej, do ślepego zautka. Mówi się, że tego rodzaju „pocięchy”, zwłaszcza obecnie, podseptują kompozytorom niektórym wazelinarski krytycy muzyczni. Ale czyż kompozytorzy mogą słuchać obojętnie takich rad i nie powoływać takich doradców przynajmniej przed sąmieniem?

Przypominając sobie, jaki był stosunek klasyków do potrzeb ludowych. Zapomina się już u nas, jak dobitnie wypowiadali się o ludowości muzyki kompozytorzy „Moguczej Kuczki” (grupa wielkich kompozytorów rosyjskich) i zbliżony do nich wielki muzykolog Stasow. W wspomnienie idą wspaniałe słowa Glinki o związku między ludem i artystami:

„Tworzy muzykę lud, a my, artyści, jedynie ją aranżujemy”. Zapomina się u nas, że koryfeusz twórczości muzycznej nie unikał żadnych rodzajów muzyki, jeśli pomagały one w upowszechnieniu sztuki muzycznej. Wy zaś unikacie nawet takich rodzajów jak opera, uważacie ją za sprawę drugorzędą, przeciwnie stawiacie jej muzykę instrumentalno-symfoniczną, nie mówiac już o tym, że traktujecie z góry muzykę pięśniarską, chórową i kon-



Rimski-Korsakov

certową, uważając za rzecz haniebną zniżanie się do niej i zaspokajanie potrzeb narodu. A Mussorgski przełożył na język muzyki „Hopaka”, Glinka użył „Komarińskiego” w jednym ze swych najlepszych dzieł. Chyba trzeba będzie przyznać, że obszar Glinki, urzędnik Sierow i szlachcic Stasow byli większymi demokratami od was. Jest to paradoksem, ale tak jest w istocie. Nie wystarczają zakłęcia, że wszyscy jesteście zwolennikami muzyki ludowej. Jeżeli tak jest, to czemu w waszej muzyce tak mało się słyszy melodii ludowych? Dlaczego powtarzają się błędy, które jeszcze poddawał krytyce Sierow, gdy dowodził, że „uczona” tzn. zawodowa muzyka rozwija się równolegle i niezależnie od muzyki ludowej? Czy u nas instrumentalna muzyka symfoniczna rozwija się w ścisłym współdziałaniu z muzyką ludową — wszystko jedno czy to chodzi o pieśń, muzykę koncertową, czy chóralną? Nie. Nie można tego powiedzieć. Przeciwnie. Jest tu niewątpliwie oderwanie spowodowane niedocenianiem przez naszych symfoniistów muzyki ludowej. Przypomnę, jak Sierow określał swój stosunek do muzyki ludowej. Mam na myśli jego artykuł „Muzyka południowo-rosyjskich pieśni”, w którym mówił: „Pieśni ludowe, jako organizm muzyczny, bynajmniej nie są dziełami poszczególnych talentów twórczych, lecz są to utwory całego narodu i całym swym układem odbiegają jak najdalej od muzyki zawodowej, dzięki tradycyjnemu, świadomemu naśladowaniu wzorów, dzięki szkole, nauce, rutynie i refleksji.

Są to kwiaty związane z określoną glebą, przychodzące na świat jak by same z siebie, rozkwitłe w pełnym blasku, bez najmniejszej myśli o autorstwie, twórczości, a więc mało przypominające inspektowe, cieplarniane plody uczonej twórczości kompozytorskiej. Dlatego też najjaskrawiej przejawia się w nich naturalność twórcza i owa (jak ją trafnie nazwał Gogol w „Martwych duszach”) głęboka mądrość prostoty, największy urok i największa tajemnica każdego dzieła sztuki.

Jak lilia swą wspaniałą szatą dziewczicą przyćmiewa blask złota, głowia i drogocennych kamieni, tak muzyka ludowa, właśnie przez swą dziecięcą prostotę jest po tysiącokroć bogatsza i silniejsza niż wszelkie wymysły szkolarskiej mądrości, jakich ucząca ją pedanci w konserwatoriach i akademiach muzycznych.” Jakże to wszystko pięknie, słusznie i dobitnie powiedziano! Jak słusznie podchwyciono rzecz najważniejszą: że rozwój muzyki odbywając się musi drogą współdziałania, na gruncie wzbogacania muzyki uczonej przez muzykę ludową! W naszych czasach obecnych artykułach teoretycznych i krytycznych temat ten zanikł niemal zupełnie. Raz jeszcze podkreśla to niebezpieczeństwo, tkwiące w oderwaniu współczesnych czołowych kompozytorów od narodu, kiedy porusza się tak znakomite źródło twórczości, jak pieśń i melodia ludowa. Oderwanie takie, rzecz prosta, nie może cechować muzyki radzieckiej.

Przejdźmy teraz do sprawy stosunku między muzyką narodową i muzyką obcą. Słusznie mówili tu towarzysze o pociągach, a nawet o pewnej orientacji na współczesną burżuazyjną muzykę zachodnio-europejską, na muzykę schyłkową, wskazując, że na tym również polega jedna z istotnych cech formalistycznego kierunku w muzyce radzieckiej.

Bardzo dobrze wyraził się w swoim czasie Stasow w artykule „Hamulce nowej sztuki rosyjskiej”²⁾ o stosunku muzyki rosyjskiej do zachodnio-europejskiej.

Pisał on: „Śmieszne jest odrzucać naukę, wiedzę w jakiegokolwiek sprawie, nie wyłączając muzyki, lecz jedynie nowi muzycy rosyjscy, nie mający za sobą — niby historycznego podglebia, odziedziczonego po poprzednich stuleciach długiego łańcucha europejskiego scholastyizmu, śmiało patrzają nauczycielom: szanujmy ją, korzystajmy z jej dobrodziejstw, ale bez przesady i czolobitności. Odrzucając niezbędność jej suchości i pedantycznej przesady, odrzucając jej gimnastyczne igraszki, którym tysiące ludzi w Europie przypisują tak wielkie znaczenie i nie wierzą, by

trzeba było wędznąć w pokorze długie lata nad jej kapiąnskimi obrzędami”.

Tak mówił Stasow o zachodnio-europejskiej muzyce klasycznej. Co zaś dotyczy współczesnej muzyki burżuazyjnej, znajdując się w stanie upadku i degradacji, to nie ma w niej nic do wykorzystania. Tym bardziej bezsensowna i śmieszna jest czolobitność przed znajdującą się w stanie upadku współczesną muzyką burżuazyjną.

Jeśli zbadamy historię naszej muzyki rosyjskiej, a następnie radzieckiej, to dojdziemy do wniosku, że wzrosła ona, rozwinęła się i stała potężną siłą dlatego właśnie, że udało się jej stanąć o własnych siłach i znaleźć sobie własne drogi rozwoju, które pozwoliły jej dotrzeć do bogactw wewnętrznego świata naszego narodu. Myślą się głęboko ci, którzy sądzą, że rozkwit muzyki narodowej zarówno Rosjan, jak i innych narodów, należących do Związku Radzieckiego, stanowi jakiegoś pomniejszenie internacjonalizmu w sztuce. Internacjonalizm w sztuce rodzi się nie na gruncie pomniejszenia i zubożenia sztuki narodowej. Przeciwnie, internacjonalizm powstaje tam, gdzie kwitnie sztuka narodowa. Zapomnieć o tej prawdzie — to znaczy utracić linię kierunkową, utracić własne oblicze, stać się kosmopolitycznym znajd. Tylko ten naród ocenić może bogactwo innych narodów, który posiada własną wysoce rozwiniętą kulturę muzyczną. W muzyce, jak we wszystkim, nie można być internacjonalistą, nie będąc zarazem szczerym patriotą. Jeśli u podstaw internacjonalizmu leży szacunek dla innych narodów, to nie można być internacjonalistą, nie szanując i nie kochając własnego narodu.

Świadczy o tym całe doświadczenie Związku Radzieckiego. Tak więc internacjonalizm w muzyce, szacunek dla twórczości innych narodów rozwija się u nas na gruncie wzbogacania i rozwoju narodowej sztuki muzycznej, na gruncie takiego jej rozkwitu, który pozwalała na dziele nie się z innymi narodami, a nie na gruncie zubożenia sztuki narodowej, ślepego naśladowania obcych wzorów i zacierania cech narodowych w muzyce. O tym wszystkim należy pamiętać, gdy mowa o stosunku muzyki radzieckiej do obcej.

Gdy mówimy dalej o wyrzuceniu się przez kierunek formalistyczny zasad puścizny klasycznej, wspomnieć trzeba o umniejszeniu roli muzyki programowej. Była już o tym mowa, ale istota zagadnienia nie została dostatecz-

nie wyjaśniona. Jest rzeczą oczywistą, że muzyki programowej mamy mniej, czy też nie mamy jej prawie wcale. Doszło do tego, że treść ukazującą się w utworze muzycznym tłumaczyć trzeba już po jego ukazaniu. Powstał cały nowy zawód objaśniaczy utworów muzycznych spośród zaprzysiężonych krytyków, usiłujących na podstawie własnych domysłów odszyfrowywać z datą wstępną treść ogłoszonych już utworów muzycznych, których zawiły sens niezupełnie podobno bywa jasny dla ich autorów. Porzucenie muzyki programowej — to także odstępstwo od postępowych tradycji. Jak wiadomo, rosyjska muzyka klasyczna była z reguły programowa.

Była tu mowa o nowatorstwie. Wskazywano, że nowatorstwo stanowi główną bodaj cechę wyróżniającą formalistyczny kierunek. Ale nowatorstwo nie jest celem samym w sobie: nowa rzecz musi być lepsza od starej, inaczej nie ma sensu. Wydaje mi się, że zwolennicy formalistycznego kierunku używają tego słowa przede wszystkim po to, by propagować złą muzykę. Nie można przecież nazwać nowatorstwem wszelkiego pozowania na oryginalność, wszelkich grymasów i dziwaczności. Jeśli się nie chce zonglować tylko pięknymi słówkami, to trzeba jasno zdać sobie sprawę, jakie rzeczy stare trzeba się starać porzucić i do jakich nowych należy dojść. Gdy się tego nie czyni, zdanie o nowatorstwie oznaczać może tylko jedno: rewizję podstaw muzyki. Może to oznaczać tylko zerwanie z takimi regułami i prawami muzycznymi, z którymś zrywem nie wolno. I to, że nie wolno z nimi zrywać, nie jest konserwatyzmem, a to, że się z nimi zrywa, wcale nie jest nowatorstwem. Nowatorstwo bynajmniej nie zawsze zbiega się z postępowością. Wielu młodych muzyków zbija się z tropu nowatorstwem, jak straszakiem, mówi się im, że jeśli nie są nowi, oryginalni, to znaczy, że nie mogą się wyróżnić z jarmu konserwatywnych tradycji. Ale skoro nowatorstwo nie jest równoznaczne

z postępowością — rozpowszechnianie podobnych sądów jest głębokim błędem, jeśli nie oszustwem.

A przy tym „nowatorstwo” formalistów wcale przecież nie jest nowe, skoro załutuje od niego współczesną schyłkową muzyką burżuazyjną Europy i Ameryki. Oto gdzie tkwi prawdziwy epigonizm!

Pamiętacie zapewne, że przez pewien czas w szkołach początkowych i średnich zachowywano się metodą „zespolowo-laboratoryjną” i „daltowskią”; rolę nauczyciela w szkole sprowadzała ona do minimum, a każdy uczeń miał prawo przed rozpoczęciem lekcji wskazać jej temat. Nauczyciel wchodząc do klasy pytał uczniów: „Czym będziemy się dziś zajmowali?” Uczniowie odpowiadali: „Proszę nam opowiedzieć o Arktyce”, „Proszę nam opowiedzieć o Antarktydzie”, „Proszę nam opowiedzieć o Czapaiewie”, „Proszę nam opowiedzieć o Dnieprostroju”. Nauczyciel musiał starać się nadążyć wszystkim tym żądaniom. Nazywano się to metodą „laboratoryjno-zespolową”, a w istocie oznaczało przewrócenie całej organizacji szkolenia do góry nogami, przy czym uczniowie byli stroną kierującą, a pedagog kierowaną. Były kiedyś podręczniki „rozproszone”, nie było pięciostopniowego systemu ocen. Wszystko to były nowinki. Ale czy były to „nowinki postępowe?”

Partia, jak wiadomo, „nowinki” te zlikwidowała. Dlaczego? Ponieważ te „nowinki”, bardzo „lewe” z pozoru, w istocie były na wskroś reakcyjne i prowadziły do likwidacji szkoły.

Inny przykład. Niedawno powstała Akademia Plastyki. Plastyka — to wasza siostra, jedna z muz. Wiecie, że w plastyce istniały przez pewien czas silne wpływy burżuazyjne; coraz to występując pod najbardziej „lewymi” sztandarami, przylepiały sobie etykiety futurizmu, kubizmu, modernizmu; „obalali”, „zgnęli akademizm”, głosili nowatorstwo. To nowatorstwo znajdowało wyraz w wariackich pomysłach, kiedy np. rysowano dziewczynę z jedną głową na czterdziestu nogach, z jednym okiem do lasa, a drugim do Sasa.

Czym się to wszystko skończyło? Zupełnym bankructwem nowego kierunku. Partia przywróciła całkowicie wartość klasycznej puścizny Repina Brullowa, Wereszczagina, Wasniecowa, Surikowa. Czy postąpiliśmy słusznie, że zachowaliśmy skarbnicę malarstwa klasycznego, a rozbiliśmy likwidatorów malarstwa?



Dom Czajkowskiego — dziś muzeum jemu poświęcone

Czy dalsze istnienie podobnych „szkół” nie oznaczałoby likwidacji malarstwa? Więc cóż, czy bromać puścizny klasycznej w malarstwie? Komitet Centralny postąpił „konserwatywnie”, znajdował się pod wpływem „tradycjonalizmu”, „epigonizmu” itd.? Przecież to nonsens!

Tak samo jest z muzyką. Nie twierdzimy, że puścizna klasyczna jest absolutnym szczytem kultury muzycznej. Gdybyśmy tak mówili, oznaczałoby to, że postępowi skończył się na klasykach. Dotychczas jednak wzory klasyczne pozostają nieprześcignione. Znaczy to, że należy się uczyć i jeszcze raz uczyć, brać z klasycznej puścizny muzycznej wszystko co w niej jest najlepsze i co jest niezbędne dla dalszego rozwoju muzyki radzieckiej.

Głędzi się o epigonizmie i temu podobnych wymysłach, straszy się tymi słówkami młodzież, by przestała się uczyć od klasyków, puszcza w ruch hasło, iż klasyków należy przescignąć. Bardzo słusznie. Ale by przescignąć klasyków, trzeba ich dogonić, a wy pomijacie stadium „doganiania”, jakby to była już przekroczona faza. A jeśli mamy mówić szczerze i dać wyraz temu, o czym mieliśmy radziecki widzi i słuchacz, to byłoby wcale nienaogorz, gdybyśmy mieli więcej utworów podobnych do klasyków z treści, z formy, wdzięku, piękna i muzykalności. Jeśli to jest „epigonizm”, to czyż nie hańba być takim epigonem!

Wynaturzenia naturalistyczne. Mówiono tu, że wzrasta odwrót od naturalnych, zdrowych prawideł muzyki. Coraz bardziej zakorzeniają się w naszej muzyce elementy wulgarnego naturalizmu. A oto co pisał Sierow 90 lat temu, ostrzegając przed wulgarnym naturalizmem³⁾.

„W przyrodzie spotykamy nieprzebrane bogactwo najrozmaitszych, najbardziej różnorodnych dźwięków, ale wszystkie te dźwięki, które nazywamy szumem, hukami, hałasem,



Mussorgski

traskiem, pluskaniem, warkotem, terkotem, dzwonieniem, wyciem, skrzypieniem, świstem, mową, szepcieniem, skrobaniem, szczyaniem, szelestem itd., a niekiedy nie mamy dla nich nazwy w mowie ludzkiej, wszystkie te dźwięki albo wcale nie stanowią części składowych języka muzyki, albo, jeśli stanowią, to jedynie w drodze wyjątku (dźwięk dzwonów, miedzianych talerzy, trójkątów, dźwięk bębna, dzwoneczków itd.).

Właściwym materiałem muzycznym są dźwięki specjalnego rodzaju...

Czyż to niesłuszne, że brzęk talerzy i dźwięk bębna powinien być wyjątkiem, a nie regułą w utworze muzycznym? Czyż nie jest jasne, że nie każdy dźwięk naturalny winien być przenoszony do dzieła muzycznego? A ileż u nas jest bezkrytycznego zachwytu dla wulgarnego naturalizmu, który niewątpliwie stanowi krok wstecz!

Mówiąc szczerze wiele utworów kompozytorów współczesnych jest tak przesyconych naturalistycznymi dźwiękami, że — wybaczyć to niewykłintne wyrażenie — przypominają coś pośredniego między maszyną do borowania i narzędziem tortur muzycznych. Po prostu wytrzymał nie można, wzięć to pod uwagę!

Tuż już zaczyna się wychodzić poza racjonalne granice, poza granice nie tylko normalnych, ludzkich wrażeń, ale i normalnego, ludzkiego rozsądku. Modne są wprawdzie obecnie „teorie”, twierdzące, iż patologiczny stan człowieka stanowi jakąś wyższą formę i że schizofrenicy i paranoicy mogą w swych majaczeniach osiągać takich wyznów ducha, do jakich zwykły człowiek w stanie normalnym nigdy dojść nie potrafi. „Teorie” te, rzecz prosta, nie są przypadkowe. Są one bardzo charakterystyczne dla epoki gnicia i rozkładu kultury burżuazyjnej. Pozostawmy jednak wszystkie te „smaczki” wariatom i wymagajmy od naszych kompozytorów normalnej, ludzkiej muzyki.

Cóż wynikało z tego porzucenia reguł i praw, którymi rządzi się twórczość muzyczna? Muzyka zemściła się na tych, którzy usiłowali gwałcić jej naturę. Jeśli muzyka zatracza treść, wysokie walory artystyczne, jeśli się staje pozbawiona wdzięku, nieładna, wulgarna, przestaje zaspokajać te wymagania, dla których istnieje, przestaje być sobą.

Dziwicie się być może, że Komitet Centralny Partii bolszewickiej wymaga od muzyki piękna i wdzięku. Cóż to za nowa napaść? Tak, to nie pomyłka, oświadczamy, że jesteśmy zwolennikami pięknej, muzyki, muzyki, która może zaspokoić potrzeby estetyczne i smak artystyczny ludzi radzieckich, a ten smak i potrzeby rozwinęły się ogromnie. Naród ocenia talent utworu muzycznego według tego, jak głęboko odzwierciedla on ducha naszej epoki, ducha naszego narodu, w jakim stopniu dociera on do szerokich mas. Bo cóż to jest genialność w muzyce? Wcale nie to, co ocenić może tylko jeden lub niewielkie kółko estetyzujących smakoszy. Utwór muzyczny jest tym genialniejszy, im jest bardziej treściwy i głęboki, im wyżej stoi pod względem kunsztu, im większa liczba ludzi tę genialność uznaje, im większej liczbie ludzi dostarcza on wrażeń. Nie wszystko, co dostępne, jest genialne, ale wszystko co prawdziwe i genialne jest dostępne, i tym genialniejsze im bardziej dostępne dla szerokich mas narodu.

A. N. Sierow miał głęboką słusność kiedy mówił: „Wobec prawdziwego piękna w sztuce czas jest bezsilny — inaczej nie zachwycono by się ani Homerem, Dantem i Szekspirem, ani Rafaelem, Tycjanem i Poussinem, ani Palestriną, Haendlem i Gluckiem...”

Utwór muzyczny tym wyżej stoi, im więcej strun duszy ludzkiej pobudza do oddźwięku. Człowiek z punktu widzenia percepcji muzycznej — to niby czardziejska, przebogata membrana czy odbiornik radiowy, działający na tysiącach fal — można na pewno wynaleźć lepsze porównanie — i dźwięk jednej nuty, jednej struny, jednej emocji mu nie wystarczy.

Jeśli kompozytor potrafi wywołać oddźwięk jednej tylko lub kilku strun ludzkich — to jeszcze mało. Człowiek bowiem współczesny, a

zwłaszcza człowiek radziecki stanowi bardzo skomplikowany aparat percepcji. Jeśli jeszcze Glinka, Czajkowski i Sierow pisali o wysokim stopniu muzykalności narodu rosyjskiego, to przecież w owych czasach, kiedy to pisano, naród rosyjski nie miał jeszcze szerszych wyobrażeń o muzyce klasycznej. W ciągu lat władzy radzieckiej kultura muzyczna naszego narodu podniosła się ogromnie. Jeśli naród nasz odznaczał się już dawniej znaczną muzykalnością, obecnie jego smak artystyczny rozwinął się wskutek rozpowszechnienia muzyki klasycznej. Jeśli dopuściliście do zubożenia muzyki, jeśli — jak to się dzieje w operze Muradelięgo, nie wyszyskano ani możliwości orkiestry, ani zdolności śpiewaków, to znaczy, że przestaliście zaspokajać potrzeby muzyczne swoich słuchaczy. Jak sobie posielesz, tak się wypiszę. Niech kompozytorzy dający utwory niezrozumiałe dla ludu nie liczą na to, że lud, który nie rozumiał ich muzyki, będzie do nich „dorastał”. Muzyka, która jest niezrozumiała dla ludu, jest mu niepotrzebna. Niech kompozytorzy winią za to nie lud, lecz siebie samych. Niech mają stosunek krytyczny do swej pracy, niech się starają zrozumieć, czemu nie zadowolili potrzeb ludu; czemu nie zaspokajali sobie na jego pochwały i co należało uczynić, by lud ich zrozumiał i pochwałił ich utwory.

Oto w jakim kierunku przedobudować trzeba swą twórczość.

Przechodząc do zagadnienia postawy niebezpieczeństwa utraty kunsztu zawodowego. Jeśli formalistyczne wynaturzenia zubożają muzykę, to również pociągają za sobą niebezpieczeństwo utraty kunsztu zawodowego. W związku z tym wspomnieć należy o jeszcze jednym rozpowszechnionym błędzie, jakoby muzyka klasyczna była prosta, a najnowsza bardziej skomplikowana i jakoby skomplikowana technika muzyki współczesnej była krokiem naprzód, ponieważ wszelki rozwój dąży do rzeczy prostych do złożonych, od szczegółu do syntezy. Nieprawdą jest, że wszelka złożoność równoznaczna jest z rozwojem kunsztu. Bynajmniej. Kto wszelką złożoność uważa za postęp, ten jest w głębokim błędzie. Przytoczę przykład. Jak wiadomo, rosyjski język literacki używa wielu obcych słów; wiadomo, jak Lenin wyśmiewał nadużywanie obcych słówek, jak walczył o oczyszczenie czystego języka z zaśmiecenia cudzoziemszczyzną. Komplikowanie języka przez wprowadzanie słów obcych zamiast rodzimych, gdy istnieje całkowita możliwość użycia słowa rodzimego, nigdy nie było uważane za postęp w języku. Na przykład obce słowo „lozung” zastąpiłoby obecnie rodzimym słowem „hasło”, a czyż zamiana taka nie stanowi kroku naprzód? To samo jest w muzyce. Pod maską czysto zewnętrznej komplikacji chwytów kompozytorskich kryje się tendencja do zubożenia muzyki. Język muzyczny staje się mało wyrazisty. Wnosi się do muzyki tyle grubiaństwa, wulgarności i fałszy, że muzyka przestaje odpowiadać swemu celowi — dostarczać przyjemności. A czyż estetyczne znaczenie muzyki należy zlikwidować? Czy nie na tym polega nowatorstwo? A może muzyka staje się rozmową kompozytora z samym sobą? Ale po cóż w takim razie zawracać nią głowę narodowi? Taka muzyka staje się antynarodowa, głęboko indywidualistyczna i w istocie naród może na jej losy spoglądać i spogląda obojętnie. Jeśli wymaga się od słuchacza, by chwalił muzykę brutalną, nieładną, wulgarną, zbudowaną na atonalności, na ciągłych dysonansach, kiedy konsonans staje się odosobnionym wypadkiem a nuty fałszywe i ich skojarzenia regułą, to jest to bezpośrednie wyrzucenie się podstawowych praw muzyki. Wszystko to razem zagraża muzyce unicestwieniem, tak samo jak kubizm czy futurizm w malarstwie stanowi jedynie kierunek zmierzający do zniszczenia malarstwa. Muzyka, która umyślnie ignoruje normalne wzruszenia ludzkie, która zatruwa psychikę i system nerwowy człowieka, nie może być popularna, nie może służyć społeczeństwu.

Była tu mowa o jednostronnym uprawianiu instrumentalnej muzyki symfonicznej bez tekstu. Zaniedbywanie rozmaitych gatunków muzycznych jest niestosowne. Do czego ono prowadzi, widać na przykładzie tejsze opery Muradelięgo. Pamiętacie, jak bogaci i bojni byli wielcy artyści pod względem rozmaitości gatunków artystycznych? Rozumie! oni, że ląd tej rozmaitości wymaga. Czemuż iścieście tak niepodobni do swych wielkich przodków? Więcej w was suchości niż w tych, którzy ze szczytów sztuki pisali dla ludu pieśni solowe, chóralne i zespolowe.

Sprawa zagubienia melodyjności w muzyce. Dla muzyki współczesnej charakterystyczne jest jednostronne upajanie się rytmem ze szkoda dla melodii Wiem, że mu-

1) A. N. Sierow: Artykuły krytyczne, t. III, str. 1391.

2) W. W. Stasow: Dzieła wybrane w dwu t., II, str. 223

3) A. N. Sierow: Artykuły krytyczne, t. I, str. 504

4) A. N. Sierow: Artykuły krytyczne, t. I, str. 1036.

Stenogram nie-sejmowy, czyli bób ob. Nosala

Zabawa w Domu Ludowym w Jodłowej w dniu 15 marca. Uczestników ponad 150 osób, przeważnie mężczyzn ze starszego pokolenia; także i młodzież.

DYREKTOR GIMNAZJUM (zaga): Przyjechali panowie z Warszawy i z Krakowa i pan Jalu Kurek, którzy ciekawi są wysłuchać opinii na temat potrzeb czytelnictwa na tutejszym terenie. „Czytelnik” w tej chwili w całej Polsce organizuje akcję po wsiach i osiedlach z ludźmi, którzy w osobistych kontaktach i rozmowach mają się wypowiedzieć, jakie potrzeby i jakie życzenia mają pod adresem książki. Dlatego prosilibym, aby panowie byli łaskawi na każde z pytań złożyć odpowiedź. Odpowiedzi złożone oddano do życzeń notuje się, bo z tego ma powstać materiał dokumentarny, który będzie służył w tej polityce organizowania czytelnictwa i akcji kulturalnej i oświatowej w terenie.

JALU KUREK: Proszę jasno i śmiało odpowiadać, bo to posłużymy nam do zapoznania się z potrzebami wsi w tej dziedzinie. Ma to związek bezpośredni z najważniejszą działalnością „Czytelnika”, celem zorganizowania masowego czytelnictwa i upowszechniania kultury w kraju. Ważną więc rzeczą dla nas będzie, czy w czytaniu książek państwo robią jaką specjalną różnicę między książką naukową i beletrystyczną, dalej, czy wolicie czytać powieści czy nowele, czy lubicie powieści historyczne czy powieści współczesne. Widzę tu pana Nosala, którego, prosilibym, aby jako przedstawiciel tutejszego środowiska zechciał w sposób prosty, szczerzy, jak to już w swoim czasie za mojej poprzedniej bytności uczynił, dać odpowiedź na te pytania.

OBYWATEL NOSAL: Jeżeli chodzi o te kwestie, które pan autor poruszył, to moim zdaniem na tutejszym terenie będą chętnie czytane wszystkie książki, wszelkiego kalibru. Ale najważniejsza rzecz jest, aby pociągnąć ludzi początkujących, aby książka tych ludzi pociągała. Bo trzeba powiedzieć, że nie wszyscy ludzie są przyzwyczajeni do czytania. Niektórzy cierpią na księgowstręt, nie lubią książek i dlatego trzeba dla nich specjalnej książki lekkiej, jak dla dzieci, aby ich wciągnąć w czytelnictwo, a później dawać im lepsze rzeczy, coraz cięższe. Ci ludzie, którzy są wprawieni w czytanie, już czytają, potrzebują książki lepszej beletrystycznej a także naukowej, takiej, jakie na wsi są potrzebne: fachowej książki rolniczej, hodowlanej itd. Nas interesują także rzeczy z szerokiego świata i to nam jest potrzebne. Ale to nie jest dla wszystkich osób. Dla niektórych ludzi trzeba, aby mieli tę fachową literaturę, aby mogli czerpać te korzyści praktyczne.

PIERWSZY OBYWATEL: Są ludzie, co widzą postęp na powieści historycznej. Brak nam, powieści historycznej, dalej książek z geografii świata itd... Człowiek, jak usłyszy niejedno, to się poskrobie po głowie, bo nic nie wie. Gdzie

Rzym, gdzie Krym, to mu wszystko jedno. Trzeba mu dać książki o dziejach świata, żeby swoją praktykę miał, jak świat wygląda. Niektórych to znowu interesują takie książki o wyższej wiedzy naukowej, o mineralogii. Najpotrzebniejsze są te książki popularno-naukowe z geografii itd.

JALU KUREK: Stwierdzamy więc na wsi głód literatury popularno-naukowej, udostępniającej w sposób przejrzysty i łatwy najnowsze zdobycze wiedzy w najrozmaitszych dziedzinach. Chciałbym się zapytać, czy państwo wolicie czytać powieści czy też nowele?

INNY OBYWATEL: W tym wypadku to ja dochodzę do wniosku, że nowele społeczeństwo niekoniecznie lubi z tego powodu, że rozpoczyna się akcja i nagłe kończy się. Ten czytelnik jest rozczarowany, bo chciałby zakosztować tego co się dzieje, tego piękna i nowela już się kończy i znowu od nowego trzeba zaczynać. Co ja uważałem, to ludzie, co lubują się powieścią lekką, tylko żeby to nie przeladowane było. Społeczeństwo lubi, jeżeli są tam różne iluzje. Tu wspominał mój przedmówca na temat geografii. Prawda, że społeczeństwo dzisiejsze przez czas tej wojny to pod względem geografii stoi nawet bardzo wysoko. Bo wypadki wojenne przesunęły cały świat przed nami z błyskawiczną szybkością. Dziś mieliśmy dopiero Polskę i Niemcy, a już zaraz mieliśmy Danię, Norwegię, gdzie mieliśmy wypadki w Bergen, w Narvik, w jakiś czas potem jużżeśmy się przenieśli na Daleki Wschód, tam mieliśmy Port Artura i znowu na Bliski Wschód, mamy Iran, Pantallerię, o której nikt nie słyszał dotychczas, to znowu Kretę. Tu przydałoby się książki geograficzne, przydałoby się małe mapki, jeżeli takie książki mają mieć jakąś wartość. Społeczeństwo teraz zwraca uwagę na geografii, bo nasi ojcowie na geografii wcale się nie rozumieli, ale obecny gospodarz, obecny obywatel, któryśmy wszyscy służyli w wojsku, to dla nas te opisywania są interesujące...

OBYWATEL NOSAL: Ja bym zauważył, że jedne rzeczy są niepotrzebne ludziom. Właśnie te romanse kryminalne są niepotrzebne. Ludzie, co przeczytali jak pisa w tych książkach, to myślą, że wszystkie rozumy zjedli i stosują się do tego w życiu. Takie romanse kryminalne nie są dobre. Jest tu w okolicy kilka małżeństw takich, co oni się zbuntowali, a przyczynę wzięli z tych książek, z tych romansów kryminalnych.

JALU KUREK: Jeżeli chodzi o kwestię prasy, czy wśród państwa istnieje głód czytania gazet, czasopism? Czy umysł wasz czuje konieczność gazet? Czy znajdujecie potrzebne informacje w prasie? Czy też czytalicie prasę na ogół zamiast książek.

OBYWATEL KOWALSKI: W tym wypadku powiedziałbym tak. Ze prasa ma większe i szersze zastosowanie aniżeli książki, bo w wielu wypadkach jest więcej ludzi, którzy nie chcą się męczyć

książką i chętniej to przeczytają w prasie. Bo są przecież artykuły i takie, jak powiadają, depeche i w tym wypadku ludzie to nawet bardzo dużą czytają. To jedno, że niestety społeczeństwo na wsi cierpi na głód pieniądza i nie może sobie pozwolić na to, nie dlatego, żeby nie chcieli kupić, ale środki nie pozwalają na to. Jeszcze przed wojną spotykało się z powodzeniem obywateli, którzy wyszli ze wsi i poszli do miasta. Jedno sobie zapamiętałem takie powiedzenie: Idzie się do miasta po pieniądze, a na wieś po rozum. Nie wiem, czy to jest dobrze powiedziane, czy nie, ale prawda jest, że do miasta trzeba iść po pieniądze, a na wsi niestety pieniędzy nie ma.

TRZECI OBYWATEL: Gazeta pociąga tego, który jest wciągnięty w czytanie, jak powiedział poprzednik. Ale gazeta nie zastąpi książki, książka nie zastąpi gazety. A jak Kowalski wspominał, na wsi jest głód tej gazety, tylko nie sposób jej dostać. W innych okolicach to wsi są skupione, zakłada się świetlice, tam gospodarze chodzą i korzystają z tych gazet, czy to przez spółdzielnię, czy też jaką organizację, czy bibliotekę. U nas przy takim rozrzuconym gospodarstwie to jest niemożliwe. U nas gospodarz, jak go stać, to sobie kupi gazetę i w domu spokojnie przeczyta, a kogo nie stać, to nie skorzysta z tej gazety. Gdyby było skupienie, to by ludzie mogli z gazety skorzystać. Wyjściem byłoby, gdybyśmy otworzyli czytelnik gazet i pism. Ale ta sprawa jest u nas trudna do przeprowadzenia.

JALU KUREK: Jakie jest stanowisko państwa wobec poezji? Czy lubicie wiersze? Czy chcielibyście tego rodzaju lekturę? Czy poetów dawnych, czy współczesnych?

CZWARTY OBYWATEL: W tym wypadku co do poezji, to piękna sztuka, ale na wsi nie ma zastosowania. Niestety tu się słowa Mickiewicza nie sprawdzają. Na wsi czytelnictwo jest w powi-jakach, więc z tego powodu poezja nie trafia tak chętnie do czytelnika. Czytelnik nie może jej zrozumieć. Może po prostu czytelnik nie umie przeczytać tego wiersza i czyta go tak, jak w szkole, ale go nie rozumie. Więc po prostu nie czyta treści, tylko kończy na każdej końcówce kropką, a nie uważa na przecinki. Dlatego społeczeństwo nie osiąga z tego, tego co powinno się osiągnąć. Więc tu widać, że nie chcą czytać. Krótkie wiersze czytają, ale długiej poezji nie.

JALU KUREK: Raczej więc jak z tego wynika nastawienie wsi do poezji byłoby nieprzychylnie czy tak? Jedynie młodzież ma inne poglądy na tę sprawę. Czy utwory sceniczne, teatralne, podobają się państwu i chcielibyście je oglądać?

DRUGI OBYWATEL: Bardzo chętnie, tylko sztuki rzeczywiście piękne, bo niewiele się takich trafia, bo nieraz są takie ordynarne, z jakimi tutaj przyjeżdżają.

JALU KUREK: Przyjeżdżają ze szmirami i wypaczają gust. Tak?

CZWARTY OBYWATEL: Ja bym to jedno dodał, że jest zainteresowanie solne słowem ze sceny, bo ile razy sobie robimy takie przedstawienie, to sala jest pełna dostatecznie, tak że czasem nie można już wpuścić. To by dowodziło, że zainteresowanie dla tych spraw jest bardzo duże. A gdyby się zdarzyło, żeby „Czytelnik” zorganizował jeden teatr objazdowy i nieraz do nas zawitał, może zobaczymy te sztuki. Młodzież gimnazjalna miała możliwość poznania ich, bo była w Krakowie na dwóch sztukach, na „Skapcu” Moliera i „Judaszu” Rostrowskiego, więc ma możliwość porównania. A my tu na miejscu siedząc tej możliwości nie mamy. Gdyby się tu dało dobry teatr objazdowy skierować...

JALU KUREK: Proszę mi powiedzieć, jak się państwo odnoszą do publicystyki? Są to artykuły, w których omawia się pewne sprawy z polityki, gospodarki i spraw społecznych, pewne zagadnienia polityczne czy zagraniczne. Czy taka publicystyka odpowiada wam? Proszę śmiało mówić na ten temat. Czy wam się podoba ten sposób wypowiadania myśli i poglądów w formie artykułów?

TRZECI OBYWATEL: Jeżeli chodzi o tę sprawę, więc ja będę miał mniejszy głos od ludzi zainteresowanych w takich publikacjach, ale jednak te artykuły, które są pisane w tej materii, byłyby przyjmowane, gdyby były bezstronne, bez żadnego takiego przyciążenia w piśmie, bo publikacje stronniczo pisane, to przegląda się i odrzuca.

JALU KUREK: Idzie wam o to zapewne, aby publicystyka dawała materiał informacyjny, a nie nasświetlany?

TRZECI OBYWATEL: Proszę panów, dziś w czytelnikach, w gazetach widzimy, że najwięcej jest tej propagandy, a ta propaganda źle się odbija na pomyśleniu. Bo zdaje się, że propaganda zbuduje, a propagandą nie zbuduje się nic, tylko pracą. Są mądrzejsi ode mnie i głupszy, ja też nie taki mądry, ale jak widzę dużo propagandy w jakimś piśmie, to mnie złości to. Jak najmniej propagandy, a jak dobre pismo, to każdy sobie wyobraź sobie. Może kto ma inne opinie o tem, ale ja com mógł to powiedzieć.

JALU KUREK: Chodzi teraz o pamiętniki i zyciorysy. O wspomnienia ze swego życia, jakie piszą nieraz między stanu, wielcy artyści itd. Czy tego rodzaju utwory lubicie czytać?

DRUGI OBYWATEL: Nie, to nas nie interesuje, bo myślimy, że to nie jest prawda, że to jest wytwór fantazji.

JALU KUREK: A zyciorysy, to jest dzieła pisarzy, którzy w formie powieściowej, zajmującej, lekkiej, ciekawiej opisują życie jakiegoś wielkiego człowieka, albo dzieje jakiegoś ważnego epizodu w historii? Czy takie rzeczy interesują tutejszych chłopów?

DRUGI OBYWATEL: Owszem, jak jest taki pamiętnik, jak Jana Słomki. Tu jeden młody powiedział, że te pamiętniki nieprawda jest. Ale ten Słomka naświetlił życie chłopów i każdy chłop to by z przyjemnością przeczytał. Pamiętniki, to dobra rzecz.

JALU KUREK: Powracam do powieści. Jaka forma powieści będzie wam najlepiej odpowiadała, czy powieść z dziejów dawnej Polski, albo historii powszechnej światowej, czy też powieść współczesna, której akcja rozgrywa się w czasach dzisiejszych?

DRUGI OBYWATEL: Jedno i drugie. Co do mnie, to obie powieści mnie pociągają. Romanse, to czuję, że mam wstręt do nich, natomiast powieść szalenie mnie pociąga. Bo człowiek korzysta i chce wiedzieć co dawniej się działo i przez porównanie z tym, co jest dzisiaj, czy to jest zgodne z rzeczywistością.

JALU KUREK: Czy podobają się państwu powieści współczesne, które operują szeroko i głęboko psychologią człowieka, które uwypuklają silnie akcję romansową, czy też powieści, które kładą nacisk na to społeczne, które akcentują naszą rzeczywistość bieżącą?

PIERWSZY OBYWATEL: Za wzór książki, która byłaby czytana, uważam Sienkiewicza. Tam to społeczne, to historyczne jest odpowiednio naświetlone i na tym tem jako przysmak jest pewien romans wpleciony.

JALU KUREK: O ile widzę, to jest zdanie ludzi dojrzałych. Co sądzi o tym młodzież?

UCZEŃ: My bardzo lubimy książki czytać, ale jeżeli tego romansu jest troszkę, nie dużo. W niektórych jest tak bardzo dużo romansu, że to źle działa na młodzież (wesotość), np. „Ugory”.

JALU KUREK: Więc tam jest przesadzona akcja?

PIERWSZY OBYWATEL: Za radykalne, tak jak „Noc” Andrejewskiego. Takich byśmy nie chcieli.

JALU KUREK: Jak się zapaturuje państwo na sprawy społeczne w powieści. Czy powieść która traktuje o sprawach społecznych jest niechętnie widziana?

UCZEŃ: Ja myślę, że taka powieść społeczna to ona nie daje wypoczynku...

JALU KUREK: Co mówią starsi o sprawach społecznych?

PIĄTY OBYWATEL: Owszem, takie powieści są bardzo pożądane o ile moim zdaniem pociągają nie tyle już serce, ile rzeczywistość. Nie wiem czy dobrze powiedziałem.

JALU KUREK: To znaczy, że pan jest przeciwny tej powieści z akcją romansową i za traktowaniem tylko spraw społecznych w powieści? Czy może w połączeniu z romansem?

PIĄTY OBYWATEL: Właśnie w połączeniu. Bo gdybyśmy wyrzu-

cili zupełnie sprawy sercowe, to życie nie ma powabu.

JALU KUREK: Czy nie można by tego odwrócić i powiedzieć, że gdyby się sprawy społeczne usunęły z powieści, byłaby ona jednostronna? Czy pan się z tym nie zgadza? Poddaje to panu, bo nie wiem jak się pan wypowiedzi o sprawach społecznych.

PIĄTY OBYWATEL: No, w tym wypadku sprawy społeczne obok spraw sercowych i odwrotnie. To musi być w połączeniu jedno z drugim. Tak przynajmniej ja sądzę. Wtedy jest książka ciekawa.

JALU KUREK: Czy czytałby pan z zainteresowaniem powieści, w których byłyby poruszone sprawy dzisiejszej rzeczywistości chłopskiej, reformy rolnej, albo upowszechnienia wielkiego przemysłu, pracy na Ziemiach Odzyskanych, albo wzmoczenia naszego eksportu, naszego węgla? Jednym słowem czy takie problemy społeczne, społeczne z naszej rzeczywistości uznaje pan jako temat w powieści?

PIĄTY OBYWATEL: Dla mnie gdybym był szczerzy? To gdyby one były wspomniane tak jednostronnie, to mnie by raziły. To ja mówię za siebie, a co reszta społeczeństwa to ja nie wiem.

JALU KUREK: No, pomówmy jeszcze o sprawie chłopskiej w powieści. Czy wy jako synowie i córki wsi, ojcowie i matki w środowisku chłopskim żyjący, czy macie satysfakcję czytając książki, traktujące o wsi? Czy lubicie czytać o sobie, o swoim środowisku wiejskim, czy macie pod adresem tych pisarzy jakies zastrzeżenia i wątpliwości?

OBYWATEL NOSAL: Co się czyta tej literatury, jak mówią pisanie o chłopach, to jest konieczność potrzebne. Niech kto mówi jak chce, ale wiesz lubi czytać o sobie. Z jakich powodów nie wiem, bo ta wieś, co niedawno wyszła spod obucha, nie jest wykształcona, ale czytanie o sobie, to kształci człowieka, jest wychowawcą młodzieży, która 60 proc. Polski stanowi. Dlaczego? Bo chłop to jest ta fabryka chleba, to jest żywiciel narodu, więc o nim się powinno pisać najczęściej. Musimy myśleć z takiego punktu widzenia, botanicznego. Można drzewo normalnie rozwinąć. Korzeń, pień, gałęzie tego drzewa, to jest chłop. Korzeń, pień, na tym drzewie to jest robotnik i ten przemysł, a kwiatem tego drzewa jest inteligencja pracująca. Więc podstawa, piem narodu jest ten chłop, bo on żywi i najwięcej jest obarczony i co dotyczy tego chłopca jest najważniejsze. Więc trzeba, aby tych chłopów, tego życia wsi było najwięcej w literaturze. Niektórzy mieszczanie nie wiedzą, z czego ten chleb jest. Przypominał takie zajście, że był bób w spółdzielni i był taki pan, co pytał kierownika: Ten bób to na drzewie rośnie? Nie wiedział, czy bób rośnie na drzewie, czy jak tam.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

Ręka ojca 12)

— Jak tylko osadzę Irkę przy dzieciach, leć do ciebie...
— Przyjdź lepiej na górę.
— Wiesz, że mam czekać na Bato-ga, gdzie on mnie będzie szukał?
— Pójdź teraz coś przegrzyć do kuchni, bo jestem głodny jak pies, a potem będę na sianie...
— Pa! Jak Lucja wróciła, to mi głowę ukreć!

Gdy wyskoczyła na dwór i drzwi wejściowe klapnęły głucho, zaczął wchodzić powoli łapiąc w ciemności rytm stopni. Za oknem wysoko mrugały światła rakiet.
— Wygląda, że koniec z Niemcami — gwizdnął z podziwu — Ale się uwinę!

W kuchni okno było zasłonięte. lampa świeciła jasno, zaczynał się powszedni wieczór.

— Gdzież to się pan Tadzio tyle czasu obracał? — zapytała Waler-cia — Nie widać jeszcze Rus-ków?

— Chyba podchodzą. Jak się w południe położyłem, spałem kamieniem dotąd.

— To pan nie słyszał o tej historii z księdzem i jak strzelali z armat, aż się wszystko trzęsło?

— Nic nie słyszałem. Moja Waler-ciu złota, nie mógłbym coś dostać? Ja bardzo przepaszam...

— Nie ma za co, dziś wszystkim dają tak na osobki... Dopiero co sędzia wrócił i państwu obiad zaniosła, cały dzień taki zwariowany...

Jadł pospiesznie, a obie kobiety stały nad nim i opowiadały roz-wielkie o wydarzeniu, delektowały się szczegółami, przeżywały sensację raz jeszcze. Słuchał zacie-kawiony, czasem mruzczał i kiwał głową z przesadnym podziwem, a-le nie przerywał jedzenia. — Spra-wa poszła za daleko — pomyślał,

— szkoda księdza. — Nie wiedział, jak bieg wydarzeń odwrócić.
— Boję się — powiedział wresz-cie, podnosząc palce ostrzegawczo — żebyście mu krzywdy nie zrobili, diabeł nie tylko jego kusi, ale i was.
— Co pan Tadzio ma na myśli?
— Ja wam tylko radzę, spytajcie się sumienia
Zostawił je zakłopotane.



— Co mu się stało? Też filozof!
— oburzyła się Ratajczakowa.
— Wiesz pani, niewyraźnie mi koło serca, a w całym domu ruch, może się coś szykuje, tylko my nie wiemy?
— Dlaczego on! Jeszcze nie nad-jechali, zaczynam się już martwić.

O tej porze dawno powinni być w domu.

— Pewnie, że mogliby już wrócić. Może ich coś jednak zatrzymało. Nie daj Boże, jaki wypadek, bo w taki czas o nieszczęściu nie trudno.

— Dlaczego właśnie im by się miało co przydarzyć?

— Dlaczego? Dlatego, że są porządni ludzie! Taką Zeidlerkę to zle z daleka omija...

— Ciekawam co też teraz książd robi?

— Zamknął się w pokoju, zaglądałam przez dziurkę — ciemno. Fewnie medytuje.

— Zeby go tylko szlag nie trafił, bo taki krwisty był na licu, że mało nie trysnął...

E, wypływ pani takie słowa! Szkoda byłoby człowieka.

— Już go pani żałujesz?

— A już! Każdy grzeszy, a on tam chyba nic złego nie zrobił, bo co, że się wódki napili i pogadali?

— Teraz pani wszystko odwra-ca, a kto przedtem na niego — hu-zia?

— Bo nie mógł nic złego zro-bić!

— A czemu to taka pani pewna?

— Bo się nawet nie zamknęli na klucz!

— Może zapomnieli z gorącości?

— Tak! Już się pilnuje. Myślę jedno, że z Zeidlerką zrobi koniec.

— Byłby czas, żeby przejrzał. Pewnie, że on nie jest zły, tylko ona mu blachę na oczy kładzie.

— To może by mu co do zjedze-nia zanieść, przecież jest bez obia-du!

— Ano prawda, trzeba byłoby...
— No to się rusz.
— Ale! Zebyś pani wszystko na mnie zgoniła? Nie ma głupich, jak idziemy, to obie...

— Proszę księdza kapelana, ko-lacja idzie!

— Nie ma go, albo się zawzięł. Poświęć pani — przykućta Rataj-czakowa — nie ma klucza w zamku, musiał wyjść.

— Zeby sobie tylko co złego nie zrobił.

— Może jest przy dzieciach?

— Irka była przed chwilą, mó-wiła, że jakby poszedł do parku, ale nie wierzyłam, bo co by tam po nocy robił? Nieszczęścia szuka?

— Nie ma tu co koleadować, chodźmy do kuchni...

— A wiesz pani, że jest mi nie-wyrażnie, możemy go pokrzyw-dzić?

— Ale czym? Niech pamięta, że sukienkę duchowną nosi, jakby z babą nie zaczął, nie byłoby do tego całego rozruchu doszło!

— A czy to on jest winien? — zamruczała Waler-cia, uchwyciwszy się poręcz schodów. — To ją trzeba było przeswiecić...

Powoli jedna za drugą, zawie-dzione zeszyły do kuchni.

+

Tadeusz leżał na stryżku na w-pół zagrzebyany w sianie. Tak było ciepło. Ręce podłożył pod głowę, zamysłony, leniwie wy-poczy-wał. Siano nie szeleściło, pachniało słabo kurzem i martwym żdźbeł.

W małym okienku na w-pół zasypa-nym śniegiem czasem zamigotały dalekie światła rakiet, wtedy ro-biło się jeszcze zimniej. Skulił nogi, bał się, że zaśnie w wygrzebanym gnieździe.

— Trzeba się raz zdecydować — szepnął — to jest wyjątkowa oka-zja, można wypłynąć...

Gdy pomyślał o przyszłości, Ce-linka nagle tak zmalała, że mógłby ją w jednej ręce unieść. Czuł, że potrafi ją przekonać o słuszności wyboru i porwać za sobą. Wierzył w siebie mocno, bliska już jest chwila, gdy stanie przed innymi, dowódca, pierwszy. Niedawne do-świadczenia, powstanie, poległ ko-

ledzy — przeszedł twardą szkołę — teraz musi pokazać, że ocalał dla wielkiej sprawy

A jeśli Celinka będzie się opie-rać... Mimo woli gromadził argu-menty, a wargi składał do prób i zakłęb... Prawdziwy mężczyzna zawsze wybierze walkę, potrafi się z miłości otępszać — myślał — ale nie był tego zbyt pewny. — Kocham, kocham, łatwo powiedziałem — roz-ważał chłodno — gdybym ją miał, na pewno inaczej patrzyłbym na

leży — przeszedł twardą szkołę — teraz musi pokazać, że ocalał dla wielkiej sprawy

A jeśli Celinka będzie się opie-rać... Mimo woli gromadził argu-menty, a wargi składał do prób i zakłęb... Prawdziwy mężczyzna zawsze wybierze walkę, potrafi się z miłości otępszać — myślał — ale nie był tego zbyt pewny. — Kocham, kocham, łatwo powiedziałem — roz-ważał chłodno — gdybym ją miał, na pewno inaczej patrzyłbym na

leży — przeszedł twardą szkołę — teraz musi pokazać, że ocalał dla wielkiej sprawy

A jeśli Celinka będzie się opie-rać... Mimo woli gromadził argu-menty, a wargi składał do prób i zakłęb... Prawdziwy mężczyzna zawsze wybierze walkę, potrafi się z miłości otępszać — myślał — ale nie był tego zbyt pewny. — Kocham, kocham, łatwo powiedziałem — roz-ważał chłodno — gdybym ją miał, na pewno inaczej patrzyłbym na

leży — przeszedł twardą szkołę — teraz musi pokazać, że ocalał dla wielkiej sprawy

A jeśli Celinka będzie się opie-rać... Mimo woli gromadził argu-menty, a wargi składał do prób i zakłęb... Prawdziwy mężczyzna zawsze wybierze walkę, potrafi się z miłości otępszać — myślał — ale nie był tego zbyt pewny. — Kocham, kocham, łatwo powiedziałem — roz-ważał chłodno — gdybym ją miał, na pewno inaczej patrzyłbym na

leży — przeszedł twardą szkołę — teraz musi pokazać, że ocalał dla wielkiej sprawy

A jeśli Celinka będzie się opie-rać... Mimo woli gromadził argu-menty, a wargi składał do prób i zakłęb... Prawdziwy mężczyzna zawsze wybierze walkę, potrafi się z miłości otępszać — myślał — ale nie był tego zbyt pewny. — Kocham, kocham, łatwo powiedziałem — roz-ważał chłodno — gdybym ją miał, na pewno inaczej patrzyłbym na

leży — przeszedł twardą szkołę — teraz musi pokazać, że ocalał dla wielkiej sprawy

A jeśli Celinka będzie się opie-rać... Mimo woli gromadził argu-menty, a wargi składał do prób i zakłęb... Prawdziwy mężczyzna zawsze wybierze walkę, potrafi się z miłości otępszać — myślał — ale nie był tego zbyt pewny. — Kocham, kocham, łatwo powiedziałem — roz-ważał chłodno — gdybym ją miał, na pewno inaczej patrzyłbym na

leży — przeszedł twardą szkołę — teraz musi pokazać, że ocalał dla wielkiej sprawy

A jeśli Celinka będzie się opie-rać... Mimo woli gromadził argu-menty, a wargi składał do prób i zakłęb... Prawdziwy mężczyzna zawsze wybierze walkę, potrafi się z miłości otępszać — myślał — ale nie był tego zbyt pewny. — Kocham, kocham, łatwo powiedziałem — roz-ważał chłodno — gdybym ją miał, na pewno inaczej patrzyłbym na

leży — przeszedł twardą szkołę — teraz musi pokazać, że ocalał dla wielkiej sprawy

boiska. Zrobiło mu się smutno, na-szło go wspomnienie domu, matki, samotność gniotła. Pragnął już tylko dotknięcia rąk, chciał Celince położyć głowę na kolanach, wie-dzieć, że ma kogoś bliskiego. Zapie-kiło go pod powieką, ale nie do-puścił do łez. Otworzył oczy szeroko. Ktoś szedł po schodach. Przy-kleknął, zaczął się w ciemności. Drzwi uchyliły się lekko.

— Droga — wyszeptał, obejmując dziewczynę niespodzianie. — Droga, najdroższa!

— Puść mnie! — pólgłosem krzyknęła przelekniona — Panie Tadzio!

Trzymał ją ciasno, mocno przy-garnął. Mimo że już wiedział, wy-korzystał świadomie pomyłek. Drewniała mu w ramionach, sta-wała się twarda i oporna. Niespo-dziewanie trafił na jej usta, naci-snął wargami, aż przechyliła głowę. Próbowała się jeszcze bronić, ale czuł, jak drży ulega. Złożył ją na sianie, całował gwałtownie. Tryumfował już, gdy pod wargami rozmarzały mu się jej lzy ciepłe i słone.

Uniósł się na łokciu.

— Co ci się stało? Czemu płaczesz?

— Przestraszyłam się, wypadłeś tak z ciemności — szepnęła. Od razu zaczęła mówić do siebie — ty.

— Ale teraz już wiesz, że to ja, więc chyba się nie boisz?

— Nie, już się nie boję...

W I E R S Z E C Z E S K I E

w przekładzie K. A. Jaworskiego

WIKTOR DYK

MÓWI ZIEMIA

Z twardej, matka, lepila cię gliny.
Ciężkim chlebem karmiłam.
Nie pieściłam dzieci, nie,
potem męża zraniłam.
Gdyś po raz pierwszy spojrział w dal jeszcze nieznana,
smutny widok twe oczy napoił.
Mówiłam ci o ranie, którą mi zadano,
której czas nie zagoił.

Ciężki dzień na oboje padł — za jaką winę?
Twardą matką ci byłam, tyś był twardym synem
Czy wyciągnął kiedy ramię do mnie?
Czy z miłością pomyślał o mnie?
Kiedy wiatr zahuczał, mróz pod nogą krzepł,
czy doleciał cię mój szepet?
A przecież mówiłam widząc twoje psoty,
nędzę, która wiecznie ciebie zre:
— Weź się, weź się do roboty,
opamiętaj się!

Ciężkie brzemie każde z nas nosi.
Czy radości drogą, czy też w strachu iść?
Słyszysz mnie dziś?
Matka syna prosi.

Broń mnie. Opatruj. Wysłuchaj swej matki.
Broń mnie. Opatruj: niech zgina dostatki,
poła stratuja, spala ci mienie.
Jutro znów wykiełkuje nasienie.
Chcę twój udział w pomocy.
Mam dla ciebie zadanie.

Broń mnie, opatruj. Wszystko w twojej mocy,
aby okręt zatonał lub wszedł do przystani.
Nie odmawiaj tym słowom, które matka krzyczy:
nie sprzedawaj udziału za garść soczewicy.
Opuszczasz mnie i tak
nie zgine.
Ale bacz,
jak osądzą twe czyny?

Ile razy zaciśnie groźnie pięść potomek,
ile razy twe imię syn wypowie z sromem?

Ja nie zgine, wiecznie będę żyć
ale wciąż się z straszną myślą bić:
jakżeś, dziedzic, zapomnieli o dziele
jakżeś wahał się, jak zdradził zuchwale?
Jak można działać niecznie z całą świadomością?
Siebieś mógł zdradzić. Ale razem z potomością?
Czegoś się bał?
Straszy cię koniec?

Śmierć to do mnie pacierz.
Twoja ziemia — macierz
otwiera swe objęcia, ty w nich nie utoniesz?
Pójdź, poznasz, jak miękkie jest ziemi objęcie.
Dla tego, który spełnił to, co trzeba, święcie.
Błagam cię, matka twoja; broń mnie synu!
Idź, choćby ciężko było w śmierci ci iść.
Opuszczasz mnie — i tak nie zgine.
Opuszczasz mnie — sam zginiesz dziś.

FRANCISZEK HALAS

NIE MA IMIENIA

Mimo twych oczu
mimo twych rąk
gdzieś w zasięgu oddechu twojego
kiedy śpisz jestem rozkruszony
pył czegoś bardzo dalekiego

Tylko imiona

Ktobyli i Ktobyli
Cotoñil i Cotoñila
Zalomil i Zalomila

Mimo twych lokci
i mimo twych włosów
gdzieś w zasięgu snu twego
wstyd miniony skarży się cicho

Zmysłowym śmiechem niezmysłowym
czaruje wieczór za wsią śpiącą
Zmysłowym śmiechem niezmysłowym
śmieją się gdzieś dziewczęta

Żadna nie da imienia żalowi twojemu
Tylko krew odlewa obraz miły
aż do mogiły aż do mogiły

WIKTOR DYK (1877—1931), dziennikarz, polityk, powieściopisarz, nowelista, poeta i dramaturg. Spóźniony romantyk, związany początkowo z „Moderni Revue” („sztuka dla sztuki”), bezlitosny ironista, w późniejszej swej twórczości stał się fanatykiem i heroldem niepodległości, głoszącym zasadę służby poezji dla dobra narodu. Najważniejszą pozycję w jego dorobku poetyckim stanowi tetralogia: „Lekkie i ciężkie kroki” (1915), „Albo” (1918), „Okno” (1921 — powstałe w więzieniu; tu napisał Dyk słynną apostrofę „Ziemia mówi”, jedyną najpopularniejszą wierszy w Czechach) i „Rok ostatni” (1922 — nagroda państwowa). Z utworów dramatycznych najlepsza sztuka o Donkiszocie, z nowel — „Szczurotap”, inscenizowany przed wojną przez Buriana i grany z wielkim powodzeniem w jego teatrze.

FRANCISZEK HALAS ur. w r. 1901, redaktor wyd. w Pradze, obecnie prezes syndykatu literatów czeskich i nacelnik departamentu prasowego w ministerstwie. Genialny samouk. Poeta-nawigator o namyślnym kulcie słowa. W początkowym okresie twórczości — tematyka miłosna, melancholia, częsty motyw śmierci. W dobie przełomowej Czech staje się poetą zbiorowości, wyrazem wiary w nieziszczalną siłę narodu i odrodzenie ojczyzny. Najważniejsze pozycje bibliograficzne: „Twarz” (1921 — nagroda państwowa), „Staruski” (1933), „Strojenie” (1947 — II wyd.), „Na roście” (1947 — VI wyd., nagroda wyd. Melantrich), „Nasza pani Bożena Niemcowa” (1946) — hołd patronce mowy czeskiej i „Kadłub nadziei” (1938 — II wyd. 1945). Halas tłumaczy arcydzieła poezji polskiej, przełożył „Grażynę”, „Konrada Wallenroda”, „Dziady”, „Balladynie” i „Lilje Wenede”.

JAROSŁAW SEIFERT, ur. w r. 1901, red. „Prawa Ludu”, potem „Pracy Narodowej”. Początkowo stał na czele awangardy ubóstwiającej Apollinaire’a, potem tworzył pod znakiem poezji, aby później stać się lirycznym sensualistą i melodyjnym melancholikiem. Jako dczynał poeta już bez fałszywej i pretensjonalności pisze utwory pełne prostoty o silnym ładunku uczuciowym, mające nieraz charakter piosenki. Najważniejsze pozycje bibliograficzne: „Poezje” (1929), „Jabłko z tonu” (1933), „Ręce Venus” (1936 — nagroda państwowa) i przepiękny cykl wierszy o Pradze „W światło ubrana” (1940).

JAROSŁAW SEIFERT

I cóż więcej mogłem chcieć niż śpiewać?
Robotnicy dłoń mi swą podali,
cóż innego mogło mnie zagrzewać —
iść — i głosem, co się tkliwie żali,
melodramat mój słów pierwszych szuka:
ręce ojca popekane, sine
czuje w swoich jego głupi synek,
ślubowałem, że ich nie oszukam.
Tam, gdzie na rozdrożu polne kwiatki,
gdzie stał ołtarz w brzózek obramieniu,
gdzie z dziecięcych rąk sfruwały płatki
i gdzie ziarno znalazłbyś na ziemi,
co wypadło z ognia kadzielnicy...
lecz nie, żegnaj, mój obrazku śliczny,
pośpieszyłem tam, gdzie tłum uliczny,
aby iść, gdzie idą robotnicy.
Kiedy młodość znajdzie się w wichurze,
pośpiech siły wszystkie jej wyteża.
Nie latają tu kolibry w górze,
nie ma w rzece tu złotego węża.
Melodramat znów się w słowach łamie:
zmienia się kurzyśleń w orchideje,
kolysanka się do ciebie śmieje,
którą w strzesze żdźbło gra na tam-tamie
Gdym się wśród Marsylii ulic włóczył
polepionych ryb luskami wszędzie,
nieraz zdało mi się, gdy wiatr huczał
w linach, w masztach — że to jest orędzie,
że mnie w dal zaprasza pieśń ta prosta
na odpływającym już okręcie.
Choć ląka pełna kwiatów nęci,
ale ktoś rozkazał wtedy: zostań!

Dziś już wiem, jaskółka czemu wraca,
gdyby u nas tylko wrzosów łany,
przetaczników tylko nawigacja,
prędzej zakuć dalbym dłoń w kajdany.
W świecie, wiem, pragnienia nie ugaszę,
tylko w domu, w domu swym jedynie
woda w studni smaczna jest po winie
i mocniejsza nawet niż haszysz.

Do ścian miasta, które mróz przenika
aby w dziedzku odpadniętej gliny
wiatr jesienny nasion mógł powtykać
wzrastających mocno i w szeliny,
powróciłem, ranny ptak z wyrazem,
przywarować pod ojczystym głazem.
Czasem razem grób niż człowiek żywy
kosmickimi cię trawy przywiąże,
czasem i żalność perspektywy
lepsza niż sny, w które się grażym,
ponad klejnot droższy z bruku kamień;
ręce ojca popekane, sine
czuje w swoich jego głupi synek,
ślubowałem, że ich nie oklamie.

— O, toś ty taka?
— Pewnie, wystarczy palcem kiwnąć,
każdy z was poleci.
Teraz przypomniała sobie poranną rozmowę,
poczuła się umocniona.
— Iruś — wyszeptał, próbując ją przygarnąć.
Trafił twarzą na jej wyciągniętą rękę,
uderzył się w oko, aż czerwone światło błysnęło mu w głowie.
— Zapamiętaj sobie, że to ja wybieram — powiedziała cicho — a ja dziś nie chcę, słyszysz?
Cofnął się, Przetarł oko. Milczała w ciemności napięta, gotowa do ucieczki.
Modliła się rozpacziwie: byle nie dziś, byle nie dziś... Nie moge, nie potrafię — łamała się, czuła tak mocny żal, że postanowiła się rozpacziwie bronić. — Chce być czysta! — Ale zarazem fałszywa duma nie pozwoliła jej już okazywać lęku.
— Widzisz, Tadzio, nie można z każdą tak samo... Przecież nie na mnie czekałeś! Po co robić Celinę przykrą, na pewno cię kocha. A mnie nie zależy na miłości, rozumiesz? Nie lubię tego zwracania głowy, komplikacji... Jakbym chciała, powiedziałabym ci wprost, jesteś przyjemny chłopak.
— Ale miałeś ochotę, nie wmaiwiaj mi, po co byś tu przychodził? Mogłaś do domu zawołać.
— Pewnie, że mogłam, ale chciałam tu zajrzeć... Może tu jeszcze przyjdę...
— Zostań Irko!
— Dziś nie mogę, rozumiesz, po prostu nie mogę. No, Tadzio, bądź rozsądnym chłopcem i uspokój się — lekliwie poglaskała go po głowie mokrą od łez ręką.
— To ty jesteś taka — powiedział zaskoczony — a wyglądasz jakbyś do trzech zliczyć nie umiała... Brałem cię za małą dziewczynkę...
— Tak, jestem inna, niż sobie wyobrażacie. Wiem czego chce. Jesteś mi wcześniej nie przejrzała.

to właśnie o tobie świadczy, jakis jest jeszcze zielony.
Oparła się ręką o jego ramię, wstawała.
— Iruś, zostań jeszcze chwileczkę.
— Nie, ani myślę... Sądziłam, że jesteś poważniejszy. No, nie rozpacza, możesz mnie na pożegnanie pocałować...
Pochwycił ją chciwie. Teraz oddała mu pocałunek i zaraz odepchnęła.
— Przyjdź, przyjdź wieczorem...
— Nie mogę.
— To jutro.
— Jestem zajęta. Cóż ty myślisz, że ja, tak jak ty, tylko się czaję po kątach?
— Irekno, proszę cię, nie dokuczaj mi, bo...
— Bądź cierpliwy, powiem ci, umówimy się.
— Ale na pewno?
— Na pewno. Na pewno — zaśmiała się i wyszła na schody. Była uradowana, pełna sprężonej energii, a zarazem wiedziała, jak bliska była upadku. — Wymknęłam się — pomyślała z wdzięcznością — Boże, Boże, jak to dobrze! — nie pójdę już tam.
Tadeusz potarł końcami palców bolącą powiekę. Zgadł, że dziewczyna skłamała. Przegapił sposobność, był wściekły, chciał za nią pobiec, gdy usłyszał znajome szybkie kroki. Celinka szła na strych.

Spotkały się w połowie schodów.
Tadeusz wspął się na siano, pod same wiązania dachowe, nie chciał teraz z Celiną rozmawiać, krył się, tchórzył.
— Po coś tam była? — zapytała ostro Celinka.
— Właśnie po ciebie!
— Po mnie? — podeszła o stopień wyżej, stały teraz obok siebie — a na cóż ja ci jestem potrzebna?

— Nie mnie, tylko dzieciom. Przykro mi, że musiałam cię aż tutaj szukać.
— Byłam zajęta.
— Ty zawsze jesteś zajęta, jak tylko trzeba co zrobić!
— No, nie mów, ja i tak dosyć robię, przynajmniej więcej od ciebie!
— Ale płacą ci za to, i to dobrze!
— Irka, co ci się stało? O coś taka zła?
— O nic. Tylko pamiętaj, że cię wolałam.



— Słuchaj — pochwyciła ją Celinka za rękę, dłoń miała szorstką i zniebity — Czy tam jest Tadek? Potem dodał szepetem. — Chyba mi go nie zazdrościsz?
— Nie mam czego.
Odsunęła Celinę i zbiegła szybko na dół. Skreśliła w korytarz, przystanąła. Myśl o tym, co mogło ją spotkać, wstrząsała drzewcem.

całe jej ciało się buntowało. — Gdyby nas jeszcze ona przytapała... Miałam szczęście. Ale nie wolno mi drugi raz kusić zła — zacisnęła pięści — będę mocna, utrzymam się taka jak teraz. Zerwała się, biegła korytarzem, podśpiewywała sobie ptasio, chwilami, jak mała dziewczynka skakała na jednej nodze. Cieszyła się samą lekkością ruchów, posłuszeństwem młodego ciała.
Celina weszła na strych.
— Tadek! — krzyknęła — Tadek, tylko mnie nie strasz...
Nasłuchiwała chwilę, czy nie dojdzie ją szelest siana, cień oddechu.
— Wiem, że tu jesteś, dlaczego się chowasz? Mam dla ciebie ważną wiadomość, Tadek! — Postąpiła krok. — Chyba go nie ma, — szepnęła, wreszcie zawróciła i zaczęła powoli schodzić.
— Gdzie on polaził — myślała. Nagle zaczęła podejrzewać Irkę. Dlaczego była taka zła i spłoszona? Tadek powiedział wyraźnie: będę czekał na strychu... Przecież dobrze pamięta. Chciała go mieć przy sobie, powiedzieć mu o decyzji sztabu, którą przywołał Batog. Nie mogła się z nią pogodzić. — Teraz mamy wolne ręce — myślała — możemy sami spróbować. Tadek przecież zna się na tym, ma już powstanie za sobą...
Tadeusz leżał jeszcze długą chwilę, dopiero dotkliwy chłód zmusił go do zejścia.

— Cholera — szepnęła — musiały się spotkać! Zatarł zniebnięte dłonie. Sam nie był zbyt pewny, którą z dziewcząt chciałby zatrzymać. Oczywiście wiedział, pamiętał, że kocha Celinę, ale skoro Irka jest taka, mógł przecież spróbować. Jeszcze pożądanie zabarwiało mu obrazy. — Gdybym miał Irkę, zaraz bym inaczej rozmawiał z Celiną, potrafiłbym ją upokorzyć — marzył z naiwną chytrnością. Niechbym o nią przestał zabiegać, zaniepokojona musiałaby posunąć się krok dalej. Wystarczy, żeby odzcu-

ła, jak jej się wymykam, na pewno zdecyduję się na wszystko. Miałbym obie — oblażać wargi. — Starł z nich dłońmi smak kurzu.
— Jakie to wszystko małe, małe i głupie. Siedzą na strychu jak ostatnia d... Tadek, zbudź się! Otrząśnij wreszcie! Masz przecież swoją drogę przed sobą. I okazja, szansa, jakiej nie wolno ci puścić — strofował się w duchu. — Trzeba zacząć myśleć o sobie, poważnie. Albo teraz wyskocz, albo trzeba będzie wrócić tam, gdzie być powinienem, pomalutku doprowadzić cię, może całe lata. Mogą mnie jeszcze do szkółki zapędzić? Jedyna prawdziwa szkoła to życie. Kosztowna, pewnie, że kosztowna, płacę własną skórą, ale przynajmniej wiem za co...
— No, już czas najwyższy, zebym się stąd ruszył!

Otrzeptał bluzę, przyglądał palcami włosy, wyplątał zdźbła kruszące się pod dotknięciem. Podeszedł ostrożnie do drzwi, było ciemno i cicho. Trzymając się blisko ściany, żeby stopnie nie zaskrzyptały, zeszedł zdołzejkiem krokiem. Z dołu niosła się młda woń ziemniaków, które pewnie kłapały na rozpaloną blachę. Styszał z kuchni niewyraźne głosy, drzwi musiały być uchylone. Szybko zbiegł do głównego wyjścia na podwórze zamkowe.
Popatrzył ponad dachy zabudowań, las stał ciemnym grzebieniem na srebrnawej chmurze. Było cicho. Minał stajnie, ścieżką pod górę szedł w mroczniejszy park. Czysta niepokoja, stąpał napięty, gotowy w każdej chwili uskokować w krzaki. Chciał przedostać się skrajem lasu, omijając łukiem tyły stowiska niemieckich aż do Dziadówki, do przedmieście Doboszowa. — Zresztą — myślał — chyba już Szwabów spędzono, bo strzały dawno ucichły. Dobrze, że mi Jan przed odjazdem powiedział, gdzie mam chłopców szukać.

Śnieg skrzyptał nieznacznie. W parku było czarno i jakby jeszcze zimniej. Parę razy kłasnął głucho, chcąc rozgrzać palce marznące mimo wełnianych rękawic.
— Niepotrzebnie godzinę zmarnowałem, do diabła z babami! Będę miał na nie jeszcze dosyć czasu. Wystarczy, żeby się człowiek trochę odkuł, wylazł na jakieś stanowisko, same się zaczęły pchać — myślał zarozumiałe — nie bój się, same przyjdą! Tu, do nogi! — uderzył dłońmi po udzie.
Przyspieszył kroku, śnieg na dróże trzeszczał jak żwir. Nagle usłyszał z daleka odgłos tępych uderzeń, dudniła ziemia. Przystanął. Pod świerkami wycierał ktoś głośno nos i wzdychał. To go uspokoiło. Musiał podejść zupełnie blisko, nim rozpoznął zwalistą postać księdza Horbaczewskiego.
— Co on tu robi — zdziwił się, gdy ksiądz znowu zaczął rąbać skutą od mrozu ziemię. — Czyżby chciał coś zakopać? Rano, na śniegu każdy od razu pozna...
— Księżę kapelanie!
— Ale mnie pan zaszedł — odwrócił się ksiądz gwałtownie — nic nie słyszałem, zresztą cały jestem nastawiony w stronę lasu, nie myślałem, że ktoś się jeszcze z domu ruszy...
— Co ksiądz tu kopie?
— Grób, mogliście dla zabitego.
— A kogo zabito?
— Niemcy Rosjanina.
— Ach Rosjanina — powiedział z ulgą — to nawet nie ma się z czym spieszyć. Teraz mróz, mógł parę dni poczekać.
— Nie, panie Tadzio, zwłoki nie powinny się poniewierać, widział pan, gdzie go rzucili? Kolo gnoju! Grzebać umarłych obowiązek chrześcijański.
— Niech ksiądz mi da, spróbuję... Uderzył kilka razy kilofem, ziemia oddawała.
(Dalszy ciąg nastąpi)

JAN KOTT

O LEONIE CHWISTKU



Leon Chwistek

„Jeżeli jednak zgodzimy się na to, że zdrowy rozsądek jest jedyną deską ratunku, na której możemy się ochronić przed dowolnym tworzeniem fikcji pozostającej na prawdę, to nie pozostaje nam nic innego, jak pocieszać się myślą, że po niesamowitej nocy przepelnionej obłędem i strachem nastąpi dzień, który przyniesie ze sobą powrót zdrowego rozsądku“.

Leon Chwistek: „Granice nauki“

Pierwszy raz zobaczyłem Chwistka na odczytanie w warszawskim Związku Literatów na pięć czy sześć lat przed wojną. Tytuł odczytu brzmiał: „O sztuce dziecka“ czy też „O nowoczesnym malarstwie“, nie pamiętam już tego dokładnie. Ale w tym wypadku tytuł nie miał najmniejszego znaczenia. Chwistek mówił o wielości rzeczywistości w nauce i życiu, o tym, jak Faust i Mefistofeles zmarowali Małgorzatę, o snobach, arystokratkach i sportowcach, o Tytanie, Picassie i polskich formistach, o teorii typów logicznych Russella, o obrazkach swojej córki i metafizycznych uroszczeniach fizyków. Świetnie zbudowane, jasne i precyzyjne argumenty wytoczone przeciwko husserlistom i pragmatystom przepłatane były pysznymi anegdotami o wypędzeniu diabła, a namiętna obrona zdrowego rozsądku przechodziła niespodziewanie w gwałtowną obronę malarstwa, które zrywa z naturalistycznym naśladownictwem. Był to jeden z najciekawszych i najbardziej podniecających intelektualnie odczytów, jaki udało mi się kiedykolwiek wysłuchać. We wszystkim, co mówił Chwistek, było coś niezmiernie twórczego i żywego, dobrematryka filozoficzna i artystyczna, jaką poruszał, była rzeczywistość nowatorska, a jednocześnie nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że cała postać Chwistka jest mi jakoś dobrze znana z literatury. Urzekająca była owa dziwna mieszanina materii i zainteresowań, ziarna szaleństwa i traktatu filozoficznego, entuzjazmu i ścisłości, dwóch jak gdyby różnych natur: uczonego i artysty. Tego samego wrażenia doznałem, ilekroć rozmawiałem z Chwistkiem, albo czytałem jego prace. Składało się na to rzadko udane połączenie trzech rzeczy, które nigdy dotąd nie występowały razem: styl życia, który wywołał się wprost z atmosfery duchowej „Młodej Polski“, styl myślenia, który przyswoił sobie argumentację, typ dowodów, język i ścisłość filozofii neopozytywistycznej i wreszcie doświadczenia, umiłowania i pasje malarza, który był jednym z najbardziej zachwycanych i konsekwentnych formistów.

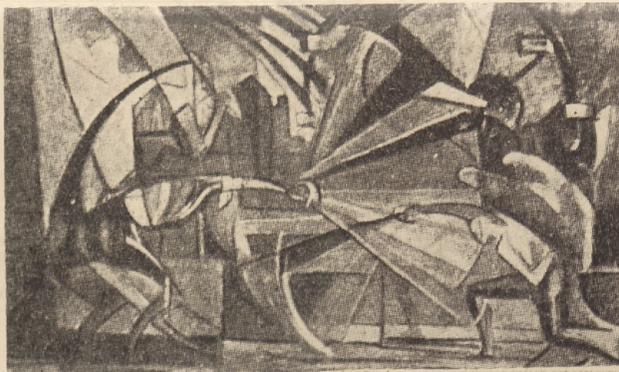
Urodził się Leon Chwistek w Krakowie w r. 1884. Był synem lekarza i artystki. Matka jego, pianistka i malarka, była uczennicą Matejki i Mikulego. Lata dziecięce spędził w Zakopanem, gdzie ojciec jego otworzył jeden z pierwszych zakładów leczniczych. Narodziła się wtedy przyjaźń Chwistka z jednym z najciekawszych artystów i umysłów dwudziestolecia, Stanisławem Ignacym Witkiewiczem, z Bronisławem Malinowskim, który stał się później jednym z najwybitniejszych socjologów i antropologów, z poetą Tadeuszem Szymborskim. Do szkoły poszedł Chwistek w Krakowie. Ukończył gimnazjum im. Sobieskiego, potem zapisał się na Uniwersytet Jagielloński, na wydział matematyczno-filozoficzny. Uluźniony jego profesorem był ks. Pawlicki, autor słynnych studiów o filozofii greckiej, a pierwszymi pracami — rozprawy z dziedziny psychologii, związane ze studiami

platał psikusy. Było w nim coś z „enfant terrible“, jakaś wewnętrzna głęboka potrzeba zadziwienia i gorszenia uniwersyteckiego środowiska, jak gdyby artysta mścił się na profesora. Był to wszystko jeszcze styl młodopolski.

Wkrótce po ukończeniu studiów Chwistek otrzymał stypendium i wyjechał za granicę. Był w Getyndze, gdzie z zapałem oddawał się studiom matematycznym, w owych czasach najwyższymi postawionymi na tym uniwersytecie. Potem przysła podróż do Włoch i odkrycie Tycjana i Tintoretta. Potem Paryż i ów słynny salon jesienny, który był pierwszą wielką manifestacją kubizmu. Rodziły się właśnie wtedy owe wsieckie „izmy“, które z całą siłą miały wybuchnąć po wojnie. Wystawiał wtedy Picassa, Archipenko, Picabia. Chwistek zamieszkał w Paryżu i malował. Nie zarzucał jednak pracy naukowej. Decydującym momentem było tutaj poznanie niedawno ogłoszonego systemu logiki matematycznej Whiteheada i Russella. Odtąd stanie się Chwistek jednym z najświetniejszych przedstawicieli tej nowej i niezmiernie płodnej dyscypliny naukowej.

W roku 1914 wrócił Chwistek do Krakowa. Z chwilą ogłoszenia zaciągu wstąpił do Legionów, jako zwykły szeregowiec. Krąg doświadczeń, w jakie tutaj się dostał, był tak różny od tego, czym był dotychczas, że nasunęło mu to pomysły — o ile oczywiście wolno doszukiwać się przyczyn psychologicznych w twórczości filozoficznej, — „wielości rzeczywistości“, napisanej częściowo w okopach. W r. 1916 został zwolniony z wojska z powodu choroby, wrócił do Krakowa, ożenił się i zaczął uczyć matematyki w gimnazjum. Miał niewątpliwie wielki dar rozbudzania zainteresowań i ambicji twórczych, skoro wielu z jego uczniów poświęciło się nauce, lub sztuce.

W roku 1921 wyszła pierwsza książka Chwistka: „Wielość rzeczywistości“, wkrótce po niej „Zasada sprzeczności w świetle badań Russella“, „Wielość rzeczywistości w sztuce“ i wiele prac naukowych, wydawanych przez Polską Akademię Umiejętności i ogłaszanych w polskich i zagranicznych czasopiśmie naukowych. Do najważniejszych należą: „O podstawach matematyki“ (1924), „O hipotezach Mendelejewa“ (1926), „O podstawach semantyki“ (1928).



Leon Chwistek

Kompozycja

O ZAGADNIENIACH MUZYKI RADZIECKIEJ

(Dokończenie ze strony trzeciej)

zyka dostarcza przyjemności wówczas tylko, kiedy wszystkie jej elementy i melodia, i śpiewność, i rytm — znajdują się w określonej harmonii. Jednostronne upajanie się jednym z elementów muzyki kosztem innego prowadzi do zakłócenia słusznego współdziałania rozmaitych elementów muzyki i rzecz prosta nie może być percypowane przez normalny słuch ludzki.

Zdarzają się i wynaturzenia również przy używaniu instrumentów niezgodnie z ich rolą, gdy na przykład fortepian staje się instrumentem perkusyjnym. Pomniejsza się rolę muzyki wokalne kosztem jednostronnego rozwoju muzyki instrumentalnej. Sama muzyka wokalna coraz mniej liczy się z wymaganiami sztuki wokalne. Krytyczne uwagi wokalistów, wypowiedziane tu przez tow. Darzyńską i tow. Katulską potraktować należy z wielką uwagą.

Te wszystkie i inne jeszcze odstępstwa od prawideł sztuki muzycznej są pogwałceniem nie tylko podstaw normalnego funkcjonowania dźwięku muzycznego, lecz i podstaw fizjologii normalnego ludzkiego słuchu. Niestety, ta dziedzina teorii, która mówi o filozoficznym wpływie muzyki na organizm ludzki, nie jest jeszcze u nas dostatecznie opracowana. A tymczasem należy się liczyć z tym, że zła, dysharmoniczna muzyka niewątpliwie zakłóca prawidłowe psychofizjologiczne funkcjonowanie organizmu.

Wnioski. Należy całkowicie przywrócić znaczenie puścizny klasycznej, należy przywrócić normalną

ludzką muzykę. Należy podkreślić niebezpieczeństwo unicestwienia, grożąca muzyce ze strony formalistycznego kierunku i potępić ten kierunek, jako Herostratowa próbę zburzenia świątyni sztuki, zbudowanej przez wielkich twórców kultury muzycznej. Trzeba, by wszyscy nasi kompozytorzy przestawili się i zwrócili twarzą do ludu. Trzeba, by wszyscy zdali sobie sprawę, że nasza partia, która wyraża interesy naszego państwa, naszego narodu, będzie popierała tylko zdrowy, postępowy kierunek w muzyce, kierunek radzieckiego realizmu socjalistycznego.

Towarzysze! Jeśli godność kompozytora radzieckiego jest dla was droga, winniście dowiedzieć, że lepiej potrafić służyć narodowi niż dotychczas. Czekaj was poważny egzamin. Formalistyczny kierunek w muzyce potępiła partia już przed 12 laty. W ciągu ubiegłego okresu, rząd odznaczył wielu z was nagrodami stalinowskimi. Między innymi i tych, którzy grzeszyli formalizmem. To, że was odznaczono, było poważną szansą. Nie uważaliśmy przy tym, że wasze utwory są pozbawione braków, znowiliśmy to jednak w oczekiwaniu, iż nasi kompozytorzy sami znajdą w sobie siłę, by odnaleźć słuszną drogę. Obecnie jednak każdy widzi, że interwencja partii była konieczna. Komitet Centralny oświadcza wam zupełnie otwarcie, że na drodze, którąście obraли, wasza muzyka laurów nie zdobędzie.

Przed kompozytorami radzieckimi stoja dwa nader odpowiedzialne

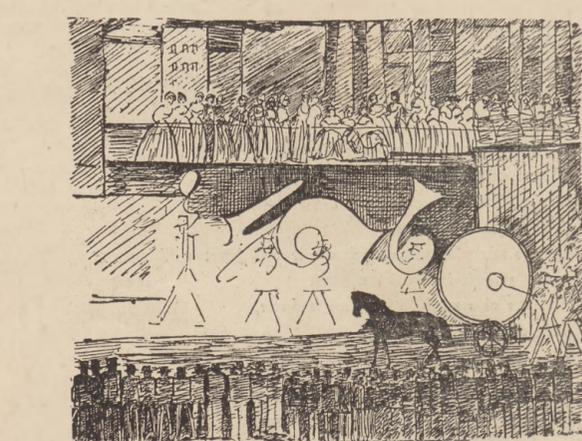
W roku 1928 zostaje docentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, a w dwa lata później profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie dostaje katedrę logiki na wydziale matematyczno-przyrodniczym. Należał Chwistek do najwybitniejszych filozofów polskich, stworzył własny system semantyki, był wysoko ceniony i zdobył sobie wielkie imię wśród logików całego świata. Ostatnia jego książka: „Granice nauki“ (Zarys logiki i metodologii nauk ścisłych), ogłoszona na parę miesięcy przed wojną, została przetłumaczona na angielski.

Ale Chwistek był nie tylko uczonym akademickim, uprawiającym trudną i niedostępną dla profanów gałąź wiedzy. Był również filozofem i w tym znaczeniu, w jakim pojmujemy się do słowa w języku potocznym, w jakim mówimy o filozofach osiemnastego wieku. Jego książka: „Zagadnienia kultury duchowej w Polsce“ (1933), wstępnie i ostatnie rozdziały „Granice nauki“, rozprawy, artykuły i studia rozsypane po czasopiśmie były rzadkim niezmiernie u nas gatunkiem essayistki naukowej z pogranicza teorii poznania i teorii sztuki.

Chwistek zaczął filozofować w dobrej polszczyźnie. Był to w istocie niezmiernie odważny czyn myśliciele. Odrzucenie bowiem owego doskonałego narzędzia, jakim jest sformalizowany język logiki czy matematyki, z chwilą kiedy pisze się o podstawach nauki i filozofii, nie jest tylko koniecznym warunkiem popularyzacji. Sprawa sięga znacznie głębiej i dotyka fundamentów poglądu na świat. Wybór języka przestaje być tutaj zagadnieniem formy wykładu, jest czymś dużo poważniejszym, jest wyborem systemu filozoficznego. Wystarczy przypomnieć, że istotę rewolucji kartezjańskiej stanowiło usunięcie tysiącznych rozróżnień scholastycznych i rozpoczęcie filozofowania w dobrej francuszczyźnie.

Wykład logiki i metodologii w języku komunikatywnym był u Chwistka konsekwencją przyjęcia naturalnego poglądu na świat jako podstawy myślenia i wiedzy. Filozofia Chwistka była próbą zbudowania systemu filozoficznego, który by się opierał jedynie na kryteriach zdrowego rozsądku i posługiwał tylko tymi regułami myślenia, jakie daje arytmetyka i logika semantyczna.

Abny w pełni docenić rolę, jaką w naszym życiu umysłowym odegrał,



Leon Chwistek

Rysunek

Chwistek, trzeba zdać sobie sprawę, że lata międzywojenne były okresem smutnego tryumfu doktryn irracjonalistycznych. Reakcja przeciwko pozytywizmowi, która się rozpoczęła w dziedzinie nauk ścisłych — od konwencjonalistycznej teorii geometrii Poincarégo i krytyki realizmu poznawczego przez Macha i Avenarius, objęła kolejno podstawowe dyscypliny humanistyczne: teorię kultury, nauki społeczne, pedagogikę. W okresie naporu fašyzmu irracjonalizm stał się pseudonauką filozofią popularną: dziennikarz, mieszając terminy i pojęcia, powoływał się na niemożność jednoczesnego określenia pedu i miejsca elektronu i konkludował że determinizm został obalony. Przełożona pensji żeńskiej wzywała na pomoc Eddingtona, by dowiedzieć, że nie ma materii. Poezi awangardowi, chcąc usprawiedliwić najbardziej dziwaczne metafory, odwoływali się do św. Tomasza, a panie w cukierkach rozprawiły o teorii względności i kompleksie Edypa. Pomiędzy poglądami na świat opartymi na doświadczeniu i zdrowym rozsądku, a tym co podawał za ostatnie zdobycze nauki — wyrastała przepaść. Świat współczesnej fizyki, jaki ukazywali „popularyzatorzy“, świat społeczny, o jakim mówili humaniści, przestał być zrozumiały dla człowieka. Obalał wiarę w istnienie rzeczy zaprzeczając społecznemu doświadczeniu, rozrywał związek, który łączy teorię z praktyką.

Ale ten kres największego rozpanoszenia się doktryn irracjonalistycznych w filozofii, polityce i życiu był jednocześnie początkiem ich zmierzchu w nauce. Zwłaszcza po roku 1930 w produjących dyscyplinach naukowych rozpoczęła się systematyczna i zaciepła walka z fundamentalnymi założeniami antypozytywistycznej syntezy: w filozofii — z husserlizmem i idealistyczną logiką, w teorii matematyki — z konwencjonalizmem w teorii literatury — z formalizmem w psychologii z freudyzmem i behavioryzmem.

W polskim ruchu umysłowym do nowatorskich racjonalistów należał niewątpliwie Chwistek, mimo że jego teoria wielości rzeczywistości, sformułowana zresztą w miarę wpły-

wu lat coraz mniej radykalnie, sięgała korzeniami do Macha i Meyersona.

Walka Chwistka z uroszczeniami metafizycznymi współczesnej nauki była tym skuteczniejsza, że toczyła się w dobrej polszczyźnie i przez to stawała się szkołą uczciwego myślenia. Nie oznacza to wcale, by prace Chwistka były łatwe. Chwistek nie popularyzował, nie wymijał zagadnień, nie uciekał od problematyki specjalnej, brniąc jednak nowoczesnego racjonalizmu i walcząc z metafizyką odwoływał się do argumentów zdrowego rozsądku, do wyników doświadczenia i tych prawideł myślenia, które zdrowy rozsądek może i musi przyjąć. W czasach, kiedy poeci przywoływali wizję zniszczenia a filozofowie wyszydzały rozum, Chwistek pisał: „Myślę, że ludzkość powinna być dumna i szczęśliwa, że udało jej się z metafizycznego chaosu wieków minionych wyfiltrować naukę ścisłą z jej niesłychaną skromnością, bezpretensjonalnością i potęgą. Taka nauka nie krepuje w niczym prometejskiego szalu ludzkości, wyznaczając mu tylko właściwe granice. Natomiast nauka, pojęta jako metafizyka i biorąca wraz ze sztuką udział w prometejskim szale, zrobić naprzód musi z tego szalu oplakaną karykaturę, a potem deformować samą siebie i zatracić swój istotny charakter“.

Ale Chwistek był nie tylko nowatorskim myślicielem, był również nowatorem w malarstwie. Wiele z jego zgrzeszeń profesorów budziła jego artystyczna działalność nie wszyscy przyjaciele artyści umieli mu wybaczyć, że swego życia — podobnie jak oni — nie poświęcił całkowicie sztuce. Od młodości starał się w sobie pogodzić konflikt obu natur, poświęcając znużdom badanom matematycznym długie noce zimowe, sztuce — letnie miesiące. W czasie pobytu w Krakowie zaprzyjaźnił się z malarzami: Zygmuntem Walliszewskim, Tytusem Czyżewskim, Zbigniewem i Andrzejem Pronaszkami, z którymi należał do twórców polskiego formizmu.

Własne zasady malarstwa ochrzcił potem Chwistek nazwą „strefizmu“, przez który pojmował kompozycję plastyczną, polegającą na wyodrębnieniu stref kolorów ciepłych i zimnych, stref kształtów wydłużonych, okrągłych czy prostokątnych. Ale te abstrakcyjne reguły w bardzo małym stopniu charakteryzują malarstwo Chwistka. Obrazy tego gwałtownego obrońcy i świetnego teoretyka sztuki wyobraźniowej były fabularne, z tym tylko, że anegdota, którą przedstawiał, bliska była fantazji dziecka, marzeniom lub snom. Ale sny te nie miały w sobie nic z koszmaru, były raczej radosną wizją świata, w którym wszystkie kobiety są dorodne, zwierzęta wesole, kolory czyste, a kształty osiągnęły swoją pełnię. Było to bardzo wesołe malarstwo.

Chwistek należał do tych artystów, którzy wzięli udział w niebezpiecznej wyprawie na granicę snu i drwiny Ta wielka przygoda nowoczesnej sztuki, a zwłaszcza poezji i malarstwa, czeka jeszcze na swojego historyka, który sprawiedliwie potrafi ocenić bunt, rozpac i daremnie ucieczki od rzeczywistości świata osamotnionego artysty. I jeżeli nawet dzisiaj skłoni jesteśmy surowo ocenianą ową sztukę czystej wyobraźni upojenia prymitywem, „podróże do lukijo“, to musimy pamiętać, że zwłaszcza w malarstwie wybór był pomiędzy metodycznym szaleństwem, a piaskim naturalizmem, fałszywym klasycyzmem i czczymi poszukiwaniami kolorystycznymi neo-impressionistów. Pamiętać musimy również i o tym, że właśnie w okresie ostatecznej próby najbardziej zachwyci nowatorzy, którzy dotąd w pojedynkę zmagali się z własnym społeczeństwem, odnaleźli siebie i towarzyszy we wspólnej walce z fašyzmem.

Wojna zastała Chwistka we Lwowie. Wykładał, pisał, malował. W roku 1941, przed wejściem Niemców do Lwowa, wyjechał do Związku Radzieckiego. Przez cały czas pobytu w Tyflisie i Moskwie pracował naukowo, wygłaszał odczyty, pisał artykuły. Był jednym z czynnych działaczy Związku Patriotów Polskich. Nie zdążył już wrócić do wolnego kraju. Umarł w Moskwie 20 sierpnia 1944 roku.

Andrzej Żdanow

Jan Kott

Książki

POPULARYZACJA LITERATURY

„ADAM ASNYK”

Antoniego Mikulskiego

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa, 1948; str. 32.

Postać Adama Asnyka, poety, polsa demokratycznego Krakowa, założyciela i redaktora „Nowej Reformy”, działacza stowiańskiego, znajdowała się długo w cieniu, choć za życia twórczość jego i społeczni-kowość cieszyły się dużym uznaniem i popularnością. Nic dziwnego, Asnyk był czołowym poetą Polski poromantycznej. Brał udział w powstaniu 1863 roku. Był członkiem Rządu Narodowego. Na schyłku swej działalności: powołał do życia Towarzystwo Szkoły Ludowej. Dużo, bezsporne jego zasługi literackie i społeczne zaglądzały wydarzenia dwudziestego wieku. „Młoda Polska” z pucyżny po Asnyku nie wywiązała się należycie.

Warto jednak plegnować pamięć o tym poecie, przypominać jego zasługi społeczne. Czy marzenia jego o Stowiańszczyźnie nie zaktualizowały się obecnie?

„Równi z równymi i z wolnymi

wolni!

I Stowiańszczyzna cała, silna,

młoda,

Przy bratniej uczcie ręce sobie

podaj!

Adam Asnyk — poeta w wykładach szkolnych nie zajmuje dużo miejsca. O dramaturgu wiedzą tylko specjaliści. Antoni J. Mikulski w esyju o czytelnicie literackim potrafił pokazać wielostronność jego aktywności. Piękno asnykowski-go wiersza, jego klarowność, obrazowość, rytmiczność przekony-wa zawsze i pociąga, choć niektórzy krytycy dopatrują się chłodu, intelektualizmu w jego liryce. Praca Antoniego J. Mikulskiego zbliża nas do asnykowskiej poezji. Jest ona dobrym wprowadzeniem w rozumienie i odczucie poetycz-nej formacji, jaką była twórczość Asnyka. Autor „portretu literackie-go” użył i materiał pamiętnikar-ski, by uwypuklił osobowość tego pracowitego, uspołecznionego arty-sty. Ojciec jego był oficerem wojsk-polskich za czasów W. Ks. Kon-polskich, brał udział w wojnie 1830—31 r. Antoni J. Mikulski na-gromadził wiele wiadomości o życiu Adama Asnyka, które nie były do-tąd znane szerszemu ogółowi. Do-tyczy to okresu szkolnego, uniwersyteckiego, działalności konspiracyj-nej. Ale i sprawy udziału Asnyka w stowiańskim ruchu kultural-nym są względna nowością, szcze-gólnie dla naszego powojennego po-kolenia.

Eustachy Czekalski

„HUGO KOŁŁATAJ”

Tadeusza Czapczyńskiego

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa, 1948; str. 16.

W cyklu „Polscy pisarze polityczni i społeczni” „Wiedza Powszechna” zamieściła zwięzłą i jedną charakterystykę Hugona Kołłataja, pióra Tadeusza Czapczyńskiego. Należy przyznać, że tego rodzaju publikacja trafia we właściwy ton i daje wszystkie niezbędne informacje o życiu i działalności wielkiego naszego demokratycznego reformatora (1750—1812). Tadeusz Czapczyński z ręcznie uwypuklił poglądy Kołłataja na stan chłopski, na mieszczaństwo, na sprawę reform ustrojowych dawnej Rzeczypospolitej. Wpłcenie cytów z pism Kołłataja pozwala nie tylko stwierdzić istotę postawy ideologicznej tego działacza, ale zapoznać się i z polszczyzną, ze stylem świętego tego publicyści, myśliciela. Autor na końcu stawia pięć pytań, na które powinien odpowiedzieć czytelnik. Te odpowiedzi stanowią będą świadectwo, jak przyswoił sobie treść broszury samouk czy licealista. Tadeusz Czapczyński wynotował również literaturę o Kołłataju, niezbędna do pogłębienia i potwierdzenia jego sądów o dziele i człowieku.

Broszura Tadeusza Czapczyńskiego napisana jest bardzo jasno i prosto, posiada duży literacki walor. Sprawia ona rzetelną przyjemność każdemu miłośnikowi z ręcznego esyju. Warto przypomnieć słowa Kołłatajowskiego testamentu:

„Czyniłem dobrze, ile mogłem, nie żebym się ludziom podobał, lecz zbliżył im dobro i dał im prawdę, bez której błądzić muszą”.

Eustachy Czekalski

Listy berlińskie • Listy berlińskie • Listy berlińskie • Listy berlińskie

Dwudziestu Niemców w PEN-Clubie

Sprawa niemieckie PEN-Clubu znana jest czytelnikom polskim ze sprawozdań z sesyjnego zjazdu PEN-Clubu w Zurychu i tegorocznego w Kopenhadze. Przypomnę więc tylko, że w roku 1933 na Kongresie w Raguzie Niemcy z rozkazu Goebbelsa wystąpili z międzynarodowej organizacji pisarzy, w roku 1947 natomiast postawili wniosek o ponowne ich przyjęcie. Wniosek ten spotkał się wówczas z opozycją przedstawicieli krajów w czasie wojny okupowanych przez Niemcy, popierali go natomiast Anglosasi, Skandynawowie i Szwajcarzy. Ostatecznie uchwalono utworzenie specjalnej komisji, do której weszła Polska, Czechosłowacja, Francja, Belgia, Holandia, Luxemburg, Dania i Norwegia, komisji, mającej za zadanie ustalenie listy pisarzy niemieckich, godnych przyjęcia do PEN-Clubu.

Na zjeździe w Kopenhadze przedstawiona przez komisję lista dwudziestu pisarzy niemieckich została uznana jednogłośnie, jako skład grupy założycielskiej nowego niemieckiego PEN-Clubu, a tym samym nastąpił pierwszy organizacyjny powrót pisarzy niemieckich do międzynarodowego życia literackiego.

Kim są ci wybrani spośród tysięcy współczesnych pisarzy niemieckich, założyciele nowego niemieckiego PEN-Clubu? — Oto odpowiedzi:

Johannes R. Becher, ur. 1891 w Monachium, jeden z najwybitniejszych liryków niemieckich, komunistą, od r. 1933 do 1945 na emigracji, początkowo we Francji, później w ZSRR. Od 1945 prezydent „Kulturbandu”, organizacji ponadpartijnej, mającej na celu „odrodzenie Niemiec w duchu demokratycznym”. Cztery tomy wierszy, wydanych po wojnie uzyskały fantastyczne nakłady ponad 100.000 egzemplarzy każdy. Przypomina formalnie na przemian to Bro-niewskiego, to Słonimskiego. Do-skonale mówca i organizator. Wy-daje miesięcznik literacko — spo-łeczny „Der Aufbau” w Berlinie w sektorze sowieckim.

Gunther Birkenfeld, ur. 1901 w Chociebużu na Łużycach. W 1932 r. ogłosił swą pierwszą powieść „Trzecie podwórko na lewo”, zaka-zaną przez Goebbelsa. Lata hitler-owskie przetrwał w Niemczech, nie ogłaszając żadnych utworów. Po wojnie zaprezentował się to-mem wierszy, wykazując dużą do-żrzałość liryczną. Postawa: — chrze-ścijańsko — liberalna. Wydaje i redaguje dwutygodnik młodzieżo-wo „Der Horizont” w Berlinie w sektorze amerykańskim.

Axel Eggebrecht, ur. w 1899 w Lipsku. Fowieściopisarz i dramaturg filmowy. W roku 1933 aresztowany i na dwa lata osadzony w obozie koncentracyjnym. Od roku 1938 ponownie pracuje w filmie niemieckim, pisząc scenariusze do filmów „Bel ami” (1938), „Operette” (1940), „Komedianten” (1940). Od roku 1945 współpracownik radia hamburskiego i wydawca „Nord-westdeutsche Hefte”. Wydał ostatnio „Grundzuge der Literatur-Geschichte”.

Herbert Eulenberg, ur. w 1876 w Muehlheim nad Renem. Wybitny dramaturg niemiecki. W roku 1920 dyrektor Burgtheater w Wiedniu. Najbardziej znane dramaty: „Kas-

sandra”, „Muenchhausen” i „Ban-kructwo Europy”.

Hermann Kasack, ur. w 1896 w Poczdamie. Poeta i dramaturg. W latach hitlerowskich nie wolno mu było publikować ani wystawić utworów. W roku 1947 powieścią „Miasto za rzeką” wysunął się na czoło współczesnych powieściopisarzy niemieckich.

Erich Kaestner, ur. w 1899 w Dreźnie, najwybitniejszy współczesny satyryk niemiecki. W latach Republiki Weimarskiej współpracownik „Vossische Zeitung”, „Frankfurter Zeitung” oraz pacy-fistycznej „Weltbuehne”. Książka jego została spalona w roku 1933. Od roku 1945 wydaje w Monachium pismo dla młodzieży pod nazwą „Pinguin” oraz zajmuje stanowisko redaktora felietonu w „Neue Zeitung” (piśmie amerykańskim dla ludności niemieckiej). Po wojnie wydał dwie powieści oraz cztery zbiory wierszy, prze-ważnie treści satyrycznej.

Elizabeth Langgesser, ur. w 1899 w Nadrenii, poetka i powieściopisarka. W roku 1932 otrzymała nie-miecką nagrodę literacką. Od 1936 do 1945 nie wolno jej było publi-kować utworów w Niemczech. W roku 1947 wydała tom pierwszy „Der Laubmann und die Rose”, przypominający twórczość Marii Jasnorzewskiej.

Theodor Plivier, ur. w 1892 w Berlinie. W czasie pierwszej wojny światowej odbywał służbę w marynarce wojennej. W listopadzie 1918 roku był jednym z czołowych przywódców buntu marynarzy w Kilonii. Po wojnie podróżował wiele po świecie, w Niemczech wyda-jąc słynne w swym czasie antyimi-litarystyczne powieści „Des Kaisers Kulis” i „Der Kaiser ging, die Generale blieben”. W roku 1933 jako komunistą ucieka do Czecho-słowacji, skąd następnie udaje się do Związku Radzieckiego, gdzie w latach wojny pisze słynną książkę „Stalingrad”. Obecnie przebywa w Hamburgu.

Ernst Penzoldt, ur. w 1892 w Erlangen, rzeźbiarz i powieściopisarz. Zyskał sławę dwoma powieściami: „Karzeł” i „Biedny Chatterton”.

Ludwig Renn, ur. w 1889 w Dreźnie. Prawdziwie nazwisko Arnold Friedrich Vieth von Golsenau, potomek arystokratycznej rodziny saskiej, oficer zawodowy w ekslu-zywnym pułku drezdeńskim do roku 1918. Zasiłnął książką „Wojna”, której popularność porównać można jedynie z podobną powieścią Remarque’a „Na zachodzie bez zmian”. W roku 1934 skazany na dwa i pół roku więzienia za lewi-cowe przekonania ucieka za granicę, gdzie w Szwajcarii wydaje powieść „Przed wielką przemianą”. W czasie wojny hiszpańskiej walczy w batalionie Thaelmana, następnie poprzez Francję, Anglię i Amerykę udaje się do Meksyku, gdzie wykłada na uniwersytecie Morelia. W 1947 roku wraca do Niemiec i osiada w Dreźnie, gdzie założył Instytut Kultury i Wiedzy. Po wojnie wydał powieść „Szlach-ta w upadku”, będącą obrazem życia juników saskich przed pierw-szą wojną światową.

Rudolf Schneider - Schelde, ur. w 1898, dramaturg i powieściopisarz, należący do tzw. wewnętrznej emigracji w czasach hitlerowskich. Po wojnie wydał wspomnienia z lat 1933 — 45 „In jenen Jahren”.

Notatnik muzyczny

Wizyta kompozytorów radzieckich, konkursy, opera

Ostatni tydzień przyniósł kilka wydarzeń muzycznych, z których każde wymagałoby osobnego i to du-żego, obszernego omówienia.

W przejeździe z Pragi — gdzie brali udział w „Fraskim Jaro” — do Moskwy, przybyli do nas, jako goście Związku Kompozytorów Pol-skich, trzej członkowie Związku Kompozytorów ZSRR: jego general-ny sekretarz Tichon Chrennikow, profesor Jurij Aleksandrowicz Szaporin i muzykolog Borys Jarustowski.

Chrennikow wygłosił w Związku Kompozytorów Polskich referat pt. „Drogi rozwoju muzyki współcze-snej”, po czym Szaporin zabrał głos i dodał do siebie wyjaśnienia na ten sam temat, dotyczące życia muzycznego w ZSRR. Ambasador Lebidiew wraz z personelem Am-basady Radzieckiej, Minister Soko-rski i członkowie Ministerstwa Kul-tury i Sztuki, reprezentanci Mini-sterstwa Spraw Wewnętrznych, Biura Współpracy z Zagranicą, To-warzystwa Przyjaźni Polsko - Ra-dzieckiej: — przede wszystkim nasz świat muzyczny in corpore byli obecni. W ożywionej dyskusji zabierali głos: dyr. Rudziński, rektor Kazuro, Alfred Gradstein, dr Zofia Lissa, dyr. Gadejski, Jerzy Jasieński, B. Jarustowski i obaj kompozytorzy radzieccy odpowia-dali. Przyjmował imieniem Zw. Kom-pozytorów Polskich i przewodni-czył zebraniu niżej podpisany.

Było to pierwsze bezpośrednie zetknięcie się naszych sfer muzycz-

nych i świata, dla którego sprawy i zagadnienia naszej kultury są bli-skie — z prądami i uchałami do-tyczącymi muzyki w ZSRR. Usły-szelśmy z ust najbardziej powoła-nych, bo z ust kompozytorów ra-dzieckich, interpretację tych uchał. Widoczne jest, że oni sami repre-zentują kierunki, których są współ-tworcami. Obrona tez radzieckich dotyczyła spraw muzycznych i ope-rowała językiem i argumentacją, która wykraczała poza argumenta-cję i sferę muzyczną. Dowodził to, jak ogromną wagę przywiązuje się w ZSRR do spraw sztuki, jak wielkie jest jej wychowawcze za-danie i jak jest ono doceniane przez czynniki rządzące.

Najazutrz Związek Kompozyto-rów Polskich urządził dla gości ra-dzieckich pokazowy koncert muzyki polskiej w świetlicy „ZAIKSU”, w którym brali udział: Grażyna Bacewiczówna (skrzypce), Olga Łada (śpiew), Władysław Kędra (for-tepian) i Nowosad (śpiew). Po koncer-cie goście radzieccy odjechali do Poznania, gdzie powtórza swe referaty i będą na premierze baletu P. Perkowskiiego „Swantewit”.

Rozpoczął się w sal: YMCA krajowy konkurs eliminacyjny do pierwszego po wojnie Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w roku 1949.

Uczestnicy siedzą, podobnie jak na międzynarodowym konkursie w

Rheinhold Schneider, ur. 1903 w Baden-Baden, poeta i biografista katolicki. Zasiłnął biografiami „Las Casas” oraz „Filip II”. W la-tach hitlerowskich wydawał w Niemczech nielegalnie ulotne pisma oraz tomiki wierszy.

Anna Seghers, ur. w 1900 w Moguncji. Prawdziwe nazwisko Nat-ty Radvanyi, najwybitniejsza współczesna powieściopisarka nie-miecka, odznaczona w roku 1928 Nagrodą Kleista za powieść „Po-wstanie rybaków w St. Barbara”. Postawa skrajnie lewicowa. W roku 1933 ucieka za granicę i kilka lat przebywa w Meksyku, skąd wraca do Niemiec w 1947. Zyskała sławę światową powieścią „Siódmy krzyż”, wydaną w 1942 roku w Ameryce. Pracuje obecnie nad wielką powieścią obejmującą lata 1918 — 1945 „Die Toten bleiben jung”.

Delf Sternberger, ur. w 1907 w Wiesbaden, krytyk i publicysta, redaktor „Frankfurter Zeitung” w latach 1934 — 1943. Od roku 1945 wydaje jeden z najpoważniejszych miesięczników niemieckich, wycho-dzący w Heidelbergu „Wandlung”. Poza tym jest profesorem nauk po-litycznych na uniwersytecie w Hei-delbergu. Po wojnie wydał książkę „Dreizehn politische Radio-Reden”.

Johannes Tralew, ur. w 1888 w Hamburgu, dramaturg i powieściopisarz.

Gunther Weissenborn, ur. w 1902 w Nadrenii. Dramaturg, poeta, po-wieściopisarz, Zadebitował z wielkim sukcesem w roku 1928 dramatem „Łódź podwodna S 4”. W roku 1938 wystawił dramat „Mat-ka”, napisany wspólnie z Bertem Brechtem na tle znanej powieści Gorkiego. W roku 1933 sztuki jego i powieści zostały spalone. Odzna-czył się w latach hitlerowskich niezwykłą odwagą pozostając w Niemczech i wydając pod pseudo-nimami dwie powieści oraz wysta-wiając również pod pseudonimem dwa dramaty przeciwstawiające się hitleryzmowi. W czasie wojny jako jeden z nielicznych pisarzy niemieckich wziął czynny udział w pracy podziemnej, a aresztowa-ny w roku 1942, oskarżony o zdra-dę stanu, skazany został na doży-wotnie ciężkie więzienie, z którego wyswobodziła go armia sowiecka.

Po wojnie wystawił doskonały dram- „Die Illegalen” oraz ogłosił tom wierszy doskonałych w formie i mocnych w treści.

Paul Wiegler, krytyk i essayista, członek prezydium „Kulturbandu”. Wydał po wojnie rewizjonistyczną pracę o Goethem, wywołując oży-wioną dyskusję w niemieckiej prasie literackiej.

Friedrich Wolff, ur. w 1888 w Na-drenii, lekarz, dramaturg. Zasiłnął w świecie w roku 1928 dramatem „Cyankali” oraz wystawionym w Zurychu w 1934 roku dramatem „Profesor Mamlock”. Książki jego zostały spalone w 1933 roku. Wolf za wyemigrował do Szwajcarii, następnie do Francji, wreszcie do Związku Radzieckiego, skąd powrócił w roku 1946.

Wreszcie Komisja przyjęła A. Jahna oraz H. Friedmana, z nie-mieckiego PEN-Clubu emigracyj-nego.

Oto lista 20 pisarzy niemieckich, którzy zostali przyjęci jako pierw-si po drugiej wojnie światowej do

Międzynarodowej Organizacji Li-teratów. Jak z życiorysów tych wy-nika trzech przeszło obozy kon-centracyjne (Renn, Weissenborn i Eggebrecht), sześciu przeżyło lata hitlerowskie na emigracji (Becher, Kaestner, Plivier, Renn, Seghers i Wolff), dwunastu zaś przetrwało lata hitlerowskie w Niemczech, z czego trzem nie wolno było druko-wać w owych latach utworów.

Nie wiem, jakie kryteria przyjęła komisja PEN-Clubu wybierając właśnie tych dwudziestu pisarzy niemieckich, a odmierzając wielu innych, jak np. Alfreda Kantorowicza, Alfreda Kerra, Rudolfa Le-onharda, Hansa Marwitze, Alfreda Polgara, Karla Schnoga czy wresz-cie z najmłodszych Stefana Herm-lina. Sądzę, że na pytanie to od-powiedzieć będą mogli częściowo delegaci polscy, którzy wzięli udział w kopenhaskim kongresie.

Obserwując ostrą dyskusję na temat wyboru pierwszych dwu-dziesiątki pisarzy niemieckich w prasie literackiej niemieckiej, odniosłem wrażenie, że lista ta uło-żona została na podstawie kompro-misu pomiędzy trzema odłamami literatów niemieckich: „tzw. „emi-grantów”, „wewnętrznych emigran-tów” i „nielegalnych”.

Grupa pierwsza przeżywszy lat trzynaście za granicą posiada dosko-nałe kontakty z pisarzami oby-cymi oraz wyraźnie określony w owych latach profil antyhitlerowski. Grupa druga — to ci, którzy pozostali w Niemczech. Liczbowo stanowią oni olbrzymią większość. Ich „antyhitlerizm” nie uwidocznił się zasadniczo niczym więcej, poza tym, że nie napisali nic (albo bardzo niewiele), co by nazwać było można wyraźnie czymś prohi-biterskim. Trzecia wreszcie grupa, najmniejsza, to ci, którzy wew-nątrz Niemiec walczyli czynnie z hitleryzmem.

Łatwo pojąć, jak wiele zarzutów stawiają sobie nawzajem te trzy grupy, w tak różnych warunkach żyjące przez lat trzynaście. Dodaj-my jeszcze: czad okupacji, ideolo-giczne spory, mocarstwowe roz-grywki i małostkowe zawiści. Za-uważmy dalej, że wszyscy wymie-nieni tu autorzy osiągnęli, wzglę-dnie nawet przekroczyli już 50-ty rok życia. Ich następcy, wypływa-jące dopiero po wojnie po raz pierwszy nazwiska, to ludzie 20 — 30-letni. Brak średniego pokolenia literackiego. Było ono niewątpli-wie. Dziś go nie ma. To hitler-owska wyrwa.

Niemiecka literatura współcze-sna obciążona jest ogromnie wew-nętrznym rozdarcie, jakie wywo-lała lata hitlerowskie. Mimo to, jej kredyt w świecie, szczególnie za-chodnim, jest nadal olbrzymi. Po przyjęciu pierwszych dwudziestu Niemców do PEN-Clubu nastąpią dalsze gesty, przyciągające literaturę niemiecką do literatury światowej. Wrosną znow tłumaczenia utworów niemieckich na języki obce. Nagroda Nobla znajdzie w swoim czasie kandydata i w Niemczech. — Sądzę, że nie należy się burzać na kolej losu taką a nie inną. Sądzę, że należy raczej przyspieszać tylko upowszechnia-nie literatury polskiej w świecie i nie zapominać przy tym o koniecz-ności tłumaczenia naszej poezji i poezji różnicą na język... niemiecki.

Edmund Osmańczyk

• Film • Film • Film •

„ŻYCIE EMILA ZOLI”

film amerykański

Hm, coraz ich więcej. Na filmy biograficzne wyraźna haussa i to po obu stronach Wielkiej Wody: „Aleksander Newski” i „Maria Curie”, „Admirał Nachimow” i „Zy-cie Tomasa Edisona”, „Iwan Groźny” i „Cezar i Kleopatra”.

Powiedzmy od razu: realizator filmu „Życie Emila Zoli” William Dieterle, postawił sobie trudne za-danie. Życie mieszczańskiego hu-manisty, kameralnego pisarza, jest znacznie mniej, by użyć popular-nego neologizmu, „fotogeniczne” niż życie wielkiego fizyka, świet-nego wodza, podmiejskiego waga-bundy czy średnio-wiejszego cara.

Życie Emila Zoli jest szare. Spo-kojny, niemal rentierski żywot ustakowanego domatora. Ale jest w tym życiu wielka karta: bezinte-resowna, szlachetna walka o życie i część niewinnego człowieka. Tej karty William Dieterle nie potrafił wygrać. Nic tedy dziwnego, że widz jest rozczarowany: zamiast asa pa-dają błotki.

A udratmizowanie scenariusza aż się prosi: wyciąć nudne i kon-wencjonalne sceny z lat młodzień-czych, wyciąć zupełnie niepotrzeb-ną Nanę z bulwarowego kabaretu, a skoncentrować akcję na samej „sprawie”. Tak właśnie krótko i wzięwato, per „sprawa”, mówio-no we Francji przez lat przeszło dwadzieścia o aferze Dreyfusa.

Czy sprawa, która rozmiętała-ła przez kilkanaście lat cały na-ród, nie mogła posłużyć za wyłącz-ny tło dwugodzinnego scenariusza? A Zola przecież był sumieniem tej sprawy, ba, stał się nawet „sumie-niem ludzkości”.

Tej szansy reżyser nie pochwyił. Natomiast nie odmówił sobie me-lodramatycznej sceny śmierci: au-tora, któremu kazal ulec zatruciu czadem właśnie w noc przed osta-tnią rehabilitacją Dreyfusa. W dymie, który obficie wylała ma-ły piecyk (co to oznacza, docieć trudno, jako że czad jest bezbarwny), mętnie tonie cały sens filmu, który dzięki genialnemu Paulowi Muni mógł stać się wydarzeniem.

„Cudze życie jest dla wszystkich tajemnicą” — twierdził niegdyś Larocheffoucauld. Ale są chwile, w których nawet samonicy, ludzie skryci i nieprzeniknięci obnażają swoje „ja” w sposób oczywisty nie tylko dla amerykańskich reżyse-rów. Taka chwila znaczy więcej dla filmu biograficznego niż paset nieznacznie naciągniętych da-nych z życiorysu.

Jerzy Płażewski

„KULISY WIELKIEJ REWII”

film amerykański

Widziałem kiedyś w teatrze re-wiowym oryginalny skecz, w którym jeden z aktorów zapytuje dru-giego, w jaki sposób powstaje muzyka. „To bardzo proste — mówi zagadnięty — biorę trąbę, dmucham tu, a muzyka wychodzi tam-tydy!”

Wydaje mi się, że według podob-nej recepty nakręcane są filmy re-wiowe. Bierze się kilka udatych numerów z programu Ziegfield, Follies czy innego zespołu z Broad-wayu, pokazuje dużo girls i mało treści — i film jest gotów do po-dania go widzom, oczywiście po przyprawieniu szczyptą dobrej muzyki jazzowej i szczyptą dobrego humoru.

Tymczasem widz filmu „Kulisy wielkiej rewii” jest przez ponad dwie godziny świadkiem heroicznych wysiłków reżysera Roberta Leonarda, zmierzających do wypelnienia luk między poszczególnymi odsłonami przedstawienia rewiowego. W rezultacie powstaje męczący dłużyznami melanz. Jest tam i upadła dziewczyna, którą na drogę cnoty sprowadza dopiero jej eks-narcezyusz, ten zaś — aby było trudniej zgadnąć — ma za sobą piękną karierę przemysłnicą i staż w więzieniu. Równolegle roz-wija się dramatażony zapoznane skrzypka, która wraca do swego łubego, skoro tylko udaje mu się dostać tustą posadkę. W ogóle cały film pokazuje bez osłonek pogon marzących o scenie młodych Amerykanek za szerokimi możliwościami, osiągalnymi dla tych, które umiejętnie pokierują swymi krokami na scenie i... poza nią. Przypomina się mimo woli stary dowcip o tym dyrektorze teatru, który skarżące się iż nie ma z czego żyć statystce powiedziały, że „by żyć” ma przecież całą widowinę.

Pomysł i wykonanie fragmen-tów rewiowych — doskonałe. Lana Turner, Hedy Lamar i Judy Garland spisuja się jak mogą w „fabularnej” części filmu. Całość — dobra, bezprezjonalna roz-rywka, w sam raz na upały.

Lucjan Wolanowski

Zygmunt Muciński

Korespondencja

W sprawie literatury o Chopinie

Do redaktora „Odrodzenia”

Od kilku tygodni „Odrodzenie” poświęca sporo rzetelnej uwagi planom i zamiarom, związanym z nadchodzącym rokiem jubileuszowym zgonu Chopina. Czyta się o różnych niedociągnięciach, krzywdach w stosunku do pamięci po naszym wielkim kompozytorze.

Nie należąc do świata muzyki, ani z racji specjalnego przygotowania, ani z innego tytułu — interesuję się jednak w miarę możliwości tą, pono, najgłębszą, a bezwzględnie, najwięcej uniwersalną dziedziną kultury artystycznej. — I otóż wertując literaturę naszą, poświęconą Chopinowi — z żalem muszę stwierdzić, iż genealogia Chopina jest u nas w osobiwym, jak sławny zaniedbania.

Okoliczność ta może wywołać pewne niemiłe zaniepokojenie — jeśli przyjąć pod uwagę — staranną pieczołowitość, z jaką w ostat-

nich dziesięcioleciach przebadane zostały rodziny słynnych poetów i artystów w różnych krajach, o odmiennych często klimatach ideologicznych — na obu półkulach.

Dla orientacji pozwolę sobie przytoczyć, iż dociekania genealogiczne o takim Tołstojem zostały doprowadzone do czasów Iwana Groźnego, a badania dotyczące Puszkina czy Lermontowa gubią się dopiero na rozróżnionych piaskach dalekiej Erytrei, czy na skalistym zamku zamglonej Szkocji.

Cześć składana trumnie artysty nigdy nie jest nadmierna, ale jakże pociągająca i ciekawa jest przyjrzenie się duchom i muzom, zebranych przy kołysce Geniusza!

Może ma skromna wzmianka znajdzie oddźwięk u przyszłego, nieznanego mi badacza, któremu już dziś pragnę przesłać wyrazy uznania i wdzięczności.

Marek Bogacki
(Zagórze)

W sali „Mozarta” wiedeńskiego „Konzerthausu” odbył się recital Ewy Bandrowskiej-Turskiej. Koncert ten był wielkim sukcesem artystki polskiej. Cała krytyka wiedeńska, która jak wiadomo, jest bardzo ostra i wymagająca, podkreśla zgodnie wielką kulturę śpiewaczą artystki i wysoką klasę smaku artystycznego w układzie programu. Recenzje umieściły wszystkie pisma naddunajskiej stolicy bez różnicy orientacji politycznych.

Wydawnictwo wiedeńskie „Zwei Berge-Verlag”, którego nakładem ukazała się niedawno książka Petera de Mendelssohn pod ironicznym tytułem „Sein Kampf” w dokumentach i sprawozdaniach, wyda wkrótce przekład noweli Jerzego Andrzejewskiego „Wielki tydzień” w osobnym tomie pt. „Die Karwoche”. Tłumaczem jest Oskar Jan Tauschinski.

Austriackie Towarzystwo Przyjaciół Filmu urządziło pokaz kilku

polskich krótkometrażówek w przepięknej sali wiedeńskiej „Uranii”. Pokaz ten był wybitnym sukcesem. Oklaski nagrodziły zwłaszcza film kukielkowy, współpracownika „Szpilek” Zdzisława Wasilewskiego „Smok wawelski”.

Poeta i dramaturg Franz Theodor Csokor (prezes PEN-klubu austriackiego), napisał słuchowisko „Mickiewicz i jego legion”. Słuchowisko to nadało w maju radio wiedeńskie a „Osterreichisches Tagebuch” przyniosło je w druku ozdobione młodzieńczym portretem wieszczki, pędzla Oleszkiewicza.

W ramach wystawy „80-lecia Künstlerhausu” wystawiono również prace zmarłego rzeźbiarza polskiego Stanisława Lewandowskiego. Na wystawie znajduje się około 150 plakatów i medali tego artysty.

Stanisław Jerzy Lec

POLONICA WIEDENSKIE

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia” z prośbą o współpracę w działaniu „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura” pod adresem: Redakcja „Odrodzenia”, Warszawa, Daszyńskiego 14, dział „Camera obscura”. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura”. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przynosi nagrodę w wysokości 1000 zł, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę z 1000 otrzymał w ubiegłym tygodniu Andrzej Gądek, Łódź, Piotrkowska 5/3 za wycinek z 22 nr. „Walki Młodych”.

MŁODZI IDA!

Fewien autor kończy swój artykuł w nr. 22-gim „Walki Młodych” takim obrazem:
Gdy wracałem do domu, słońce wbiło się na komin czerwona plamą zachodu.

Szedłem, nie patrząc na nie i wiedziałem, że będzie coraz bardziej czerwone, pomarańczowe, aż wreszcie schowa się za horyzontem.

Bo tak musi być. I tak też będzie z nami.

Jak to Hanka powiedziała.
„Będziemy szukali swego miejsca. Miejsca dumnego człowieka w dumnym ustroju”.

Wcale tak nie musi być. Bądźmy raczej rozumni niż dumni, nie czerwieniejmy w pomarańcz i nie chowajmy się za horyzontem.

RADOMSKI PUSZCZYK

Fotografię ze święta ludowego w Wierzbicy opatruję „Zycie Radomskie” następującym podpisem:

Wierzbica i święto ludowe po raz trzeci i naprawdę ostatni.
Ejże?

SKARBIEC CAMERY

Pragnąc zaspokoić ciekawość czytelników pytających w wielu listach o dalsze losy Barlampa, postawionego przez nas w jednej z poprzednich „Camer” na szczycie baszły, przytaczamy kolejny fragment powieści Adama Czekalskiego pt. „Skarb Wielkiego Mogoła”, ukazującej się w IKP:

Niekról jednak spojrzawszy w dół, zawsze wydawało mu się, że nie zbliżył się do niej ani o krok, ale tak samo, jak przedtem, znajduje się ona bardzo głęboko pod jego nogami. Gdy jednak zadzierzał głowę do góry, widział, że szczyt baszły jest coraz wyższy i dalszy, co znaczyło, iż zbliżanie się ku ziemi nie jest widmem.

Schodził na ślepo, nie patrząc ani w dół, ani do góry. Całą uwagę swoją skupiał na miejscu, w którym w danym wypadku się znajdował. I szedł, szedł, pełną po stożkowatym murze, jak obrzydliwa gasienica, która z ziemi wydać się musiała niezbyt wielka, a z odległości nawet widzieć nie można jej było.

W głowie huczał mu młyn, w uszach miał szum i huk, w zylach krew krawężla rozpalona, zgorączkowana, szalona. Był mokry, z palców w ręk i nóg sączyła się krew i znać było ślady na murze, a ziemia znajdowała się wciąż jeszcze daleko pod nim. W pewnej chwili spod lewej nogi usunęła się nagle cegła, noga się ześliznęła i Aleksander omal nie runął w dół na kamieniste podłoże. Szczęściem chwycił ręk były mocne, kurczowe i one tylko uratowały całe ciało przed rozbięciem. W innym znowu czasie, już na jakieś 15 metrów od ziemi, Aleksander doznał gwałtownego skurczu serca, coś go ukuło boleśnie w piersi, że omal nie zemdlął. Musiał wyczołgać moment, aby zebrać wszystkie siły i rozpocząć dalej walkę o życie z fatalnym losem, który zgotował mu tak nieprzyjemną i niebezpieczną zarazem niespodziankę.

I znowu ruszył w dół. Największą okolicznością sprzyjającą dla Barlampa było to, że baszta rozszerzała się, niżby stożek, ku dołowi. Pozwalało mu to na chwilowe wypoczynki w pozycji leżącej.

Pożył się o tyle wygodnie, że nawet zasnął. Co z tego wynikło dowiemy się za tydzień.

ICH TRZECH I ONA JEDNA

Związyły sposób wyrażania się nie zawsze była jednoznaczny z jasnością. Świadczy o tym ogłoszenie w „Głosie Wielkopolskim”:
Dziewczyna ze snaniem (3 osoby). Mickiewicza 24, m. 5.

W tym samym numerze „Głosu” czytamy w rubryce „Osobiste”:
W imieniu żony mojej, Weroniki Kmiecickiej, cofam zarzut przeciwko Janowi Ratajczykowi, zam. w Krotoszynie, jakoby tenże utrzymywał bliższe stosunki z moją żoną, gdyż zarzut ten jest nieprawdziwy i za to go przepraszam. Antoni Kmiecicki.

„W imieniu żony”, czyli innymi jasnymi słowami, ob. Weroniki Kmiecickiej doszła do wniosku, że nie utrzymywała z ob. Janem Ratajczykiem stosunków. A po co do publicznej wiadomości?

ABRAKADABRA

Na próżno staramy się zrozumieć informacje „Dziennika Polskiego” o zamierzonej reformie szkolnej:

Część szkół stopnia licealnego będzie połączona ze szkołami podstawowymi i stanowić będzie jednolitą szkołę 11-letnią. Obok takich szkół będą istniały 4-letnie szkoły stopnia licealnego bez podbudowy szkoły podstawowej.

Istniejące dotychczas klasy dawnego gimnazjum i liceum będą w r. szk. 1948/49 przemianowane i włączone w nowy system szkolny w sposób następujący: w klasie VIII będą absolwenci kl. VII, w klasie IX absolwenci kl. VIII i tzw. klasy wyrównawcze, w IX absolwenci kl. II gimn., w X absolwenci kl. III gimn., w XI absolwenci kl. I lic.

„Proszę o wyjaśnienie — błagam uczennica w liście mokrym od lewej — bo już sama nie wiem, w jakiej jestem klasie”.

AUSTRIACKIE GADANIE

W „Dzienniku Literackim” z 23/66 czytamy:

Walka o gram. Gdy Niemcy zagarnęli Austrię w r. 1938, wprowadzili w licznych wypadkach terminologię urzędową niemiecką zamiast dawnych wyrażeń austriackich. Tak np. słowo „gram” zastąpiło „dekagram”. Termin został przywrócony w kartach żywnościowych, co podkreśla z zadowoleniem prasa austriacka. „Arbeiterzeitung” żąda nawet wydania specjalnego słownika wyrazów austriackich, „by usunąć słowa przetrzymane z dawnej Rzeszy i obce naszemu poczuciu językowemu”.

Bardzo to przyjemnie ujrzyć w karcie żywnościowej zamiast grama masia — dekagram. Bądź co bądź dzieł się razy więcej. Winsturjemy Austriakom sukcesu na odzyskanie apropracji i życzymy z kolei zamiany dekagrama na kilogram.

ZABYTKI

„Rzeczpospolita” donosi:
Do Warki z wycieczką PTK Dnia 6 bm. (w niedzielę) PTK urządziła wycieczkę do Warki, malowniczo położonej nad Pilicą z ciekawymi zabytkami historycznymi jak: dwa kościoły gotyckie, dworek Paławskiego, grób Piotra Włósockiego, kopiec Powstańców, bitwa Czarneckiego ze Szwedami, pobyt Kościuszki.

Pominąwszy nawet nieporadność stylu niniejszej notatki, nie możemy zgodzić się na to, że bitwa Czarneckiego ze Szwedami i pobyt Kościuszki, to „zabytki historyczne”.

WIOSNA

W „Kurierze Wielkopolskim” znajdujemy wiersz Władysława Nowakowskiego pt. „Pobudka wiosny”. Oto ostatnia, szczególnie pobudliwa zwrotka:

Wszystko budzi się do życia
Na wiosenki tchnienie;
I wychodzi gdzieś z ukrycia
Cate przyrodzenie!

Oto skutki niedbałego stosunku do garderoby. Zwłaszcza na wiosnę!

STYL

W tygodniku „Warszawa” Stanisław Helżyński pisze:

W „The Casuarina Tree”, przetłóżonym po polsku na „Samotna dusza”, bierze Maugham za teren swych obserwacji Borneo i półwysp Malajski. Wszystkie sześć nowel odnoszą się do tej dziedziny, bo pierwsza z nich „Przed wizytą” umiejscowiona w hrabstwie Sussex w Anglii, rozegrała się na Borneo, gdzie Harold zabity przez własną żonę, gdy leżał spity do nieprzytomności, był długie lata rezydentem.

Streszczenie naiwne i nieporadnym stylem napisane. Rymy „spity... zabity...” rażą nawet w poezji.

• CZYTELNIK •

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

◀ OSTATNIE NOWOSCI ▶

ROMAN BRATNY
W KARTY
Z HISTORIĄ
Poezje
Str 109
zł 250

CZESŁAW
CENTKIEWICZ
CZELUSKIN
Wyd. III
Str 77
zł 120

Biblioteczka Młodego
Czytelnika
MATO LOVRAK
DZIECI
WIELKIEJ WSI
Str 100
zł 180

Biblioteczka Naukowa
Młodego Czytelnika
IRENA RUSZKOWSKA
CHRABĄSZCZOWE
WAKACJE
Str 59
zł 120

KAZIMIERZ BARTEL
GEOMETRIA
WYKREŚLNA
Wyd. III
Oprac. Plamitzer A
Str 427
zł 1100

STANISŁAW ZIEMECKI
PRAWA NATURY
Elementy fizyki klasycznej
i atomowej
Str 394
zł 950

DEKLARACJA
Zgłaszam się na członka Klubu Literackiego „Odrodzenia” i zobowiązuję się do płacenia abonamentu za książki w kwocie zł 1.800 rocznie, płatnych po 150 zł miesięcznie lub po 300 zł co drugi miesiąc lub po 900 zł półrocznie (niepotrzebne skreślić).
Moje prawa i obowiązki są mi znane.
Imię i nazwisko
Adres
(podpis)
Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem:
Warszawa, Daszyńskiego 14, Klub Literacki „Odrodzenia”.

Puryści językowi a emancypacja kobiet

Do redaktora „Odrodzenia”

Ponieważ p. Henryk Korotyński w artykule o błędach językowych (nr 19 „Odrodzenia”) ubolewa również i nad tym, że niektóre panny, niepomnie zasady, że w języku polskim nazwiska odmieniają się przez rodzaje, przez próżność, dla zamaskowania swego staropaniństwa, przybierają kształt męski, raniąc w ten sposób dotkliwie miłośników języka polskiego — ośmielam się dodać, że bywają i inne względy.

Np. ja mam zamiar urodzić dzieci, ale jednak wobec wystąpienia p. Korotyńskiego zastanawiam się mocno. Bo czyż dzieciom moim (a wszak być mogą to bliźnięta, trojaczki a nawet i czworaczki) wystarczy slogan RTPdowski, głoszący że każde dziecko w „Nowej Polsce” ma jednakowe prawo do szczęścia i jest jednakowo traktowane — skoro mamusia ich, dla zadość uczynienia wymaganiom purystów ma zostać „ówna”? A przecież jeszcze w „starej, sanacyjnej Polsce” prof. Bystron (Nazwiska Polskie, Łwów, 1927 r.) domagał się wyrugowania z akt urzędowych formy panińskiej, motywując, że i tak jest ona przeżytkiem z czasów prerostów patrymonicznych i stosuje się tylko do niektórych nazwisk. „Nie ma potrzeby tych różnic, na nie się one przydać nie mogą, powodują jedynie zamęt i nieporozumienia” — pisał prof. Bystron (str. 63), pocieszając jednocześnie zagorzaleńców obronców tradycji, że sufiksy te i tak nie zaginą. Na wsi jest tak silne poczucie przynależności każdej osoby tak jak rzeczy, że pomimo tego, iż ksiądz do metryki wpisuje nazwisko w formie męskiej, zo-

na Kota jest zawsze Kotka, córka — Kocionko, a parobek — Kocik.

Niestety, nie mam studiów polonistycznych, wydaje mi się jednak, że życie dyktuje pewne formy językowe a nie odwrotnie, i że od czasów Janka z Czarnkowa, Grzesia z Sanoka, Mikołaja Reja z Nagłowic — wiele już zasad językowych przeminęło bezboleśnie.

Jeżeli jednak obecna opinia wraz z całą Ligą Kobiet, akurat tej zasadzie pragnie być wierna, nie pozostanie mi nic innego — zwłaszcza, że za każdym razem, gdy idzie moja rzecz do druku, nasz „straszny korektor” powiewa mi przed nosem w/w artykulem p. Korotyńskiego — jak tylko dziecięcki podzucić, a samej szukać schronienia w którymś z malowniczych i zacisznych dworców polskich, by w gronie oficjalistek, pańien Sapieżanek, Kiciakównych, Dziudzielkielki wczorajnych i tym podobnych, przędząc, tkając i haftując reszty żywota dokonać.

Gdyby jednak okazało się prawdą to co głoszą gazety, że „na terenie Polski” nie ma już owych dworców lubyh, tak cudnie kwitnących za czasów „dzielnej panny Marii Rodziewiczówny”, którą p. Korotyński matoduszynom pannom dziś za wzór stawia — wyemigruję chyba do jednego z krajów północnych, w którym co prawda jest mniej może podniosłych akademii ze strzelistymi aforyzmami o równouprawnieniu kobiet — ale za to każda kobieta po dojeździe do pełnoletności ustawowo ma zapewnione prawo do tytułu „pani” i nazwiska w brzmieniu rodowym.

Zofia Wójtowicz

Protest

Do redaktora „Odrodzenia”

Jako członkowie jury zakładamy protest przeciw orzeczeniu Sądu Konkursowego Ziemi Nyskiej z dnia 29 maja 1948 r., które zapadło (z wyjątkiem drugiej nagrody) większością głosów. Wobec tego, że sposób ogłoszenia wyników Konkursu nie uwzględnił poczynionych zastrzeżeń, uważamy za konieczne złożyć następujące publiczne oświadczenie:

Nie rozważając wartości artystycznej prac nagrodzonych, musimy wziąć w obronę powieść „Ostatnia gwiazda” (godło Fodkowa) i „Poeemat o Nysie” (godło Cień cienia). Fraze te, którym Sąd Konkursowy odmówił nie tylko nagrody, ale nawet wyróżnienia, stanowią naszym zdaniem w skromnym plonie konkursu dzieła prawdziwej sztuki. Powieść „Ostatnia gwiazda” jest artystyczną próbą zbeletryzowania historii Mikołaja II, księcia opolskiego, ujawnia samodzielny stosunek do źródeł i przedstawia własną strukturę językową. Cykl liryków „Poeemat o Nysie” przynosi poetyckie spojrzenie na Nysę, któ-

ra wprowadza jako nowy temat do współczesnej poezji. Ponieważ koperty z godłami zostały otwarte w czasie posiedzenia Sądu Konkursowego, ujawnione zostały nazwiska autorów prac niewyróżnionych. Wobec tego poczuwamy się do obowiązku stwierdzić, że autorem pracy „Ostatnia gwiazda” jest Wł. Bodnicki, autorem „Poeematu o Nysie” Jan Sztudynger.

W okresie, kiedy kieruje się wszad apele literackie i społeczne do pisarzy, by podejmowali w twórczości zagadnienia Śląska i Ziemi Odzyskanych, podobnie niefrasobliwe wyeliminowanie z materiału konkursu dzieł literackich, spełniających warunki sztuki piarskiej i tematu, uważamy za decyzję szczególnie przykrą i nieoczekiwaną. Oświadczeniem tym chcemy bodaj w części wyrównać krzywdę uczynioną autorom, których twórczość została zlekceważona.

Roman Lutnan
Tadeusz Mikulski
(Wrocław)

Powieść monograficzna o Leśmianie

Do redaktora „Odrodzenia”

Przystępując do pracy nad powieścią monograficzną o Bolesławie Leśmianie (dla Państwowego Instytutu Wydawniczego, seria „Plutarcha Polskiego”), zwracam się za pośrednictwem „Odrodzenia” do wszystkich przyjaciół i znajomych poety z prośbą o powiadomienie mnie o wszelkich materiałach, dotyczących jego życia i twórczości, lub też bezpośrednio nadsyłanie ich pod adresem Zw. Zaw. Literatów Polskich, Śniadeckich 10, Warszawa, na nazwisko niżej podpisanego.

Anatol Stern

APEL

Proszę wszystkich, którzy bądź są w posiadaniu jakichś rękopisów (utworów literackich, listów itp.) lub rysunków Brunona Schulza, bądź też mogliby mi udzielić informacji, dotyczących jego osoby i twórczości — aby zechcieli powiadomić mnie o tym pod adresem: Włochy koło Warszawy, ul. Wielkiej Łuki 19, m. 1. Materiały i informacje potrzebne mi są do opracowywanego przeze mnie studium o twórczości Brunona Schulza.

Jerzy Ficowski